Nr. 29. Poznań, niedziela 19-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Franciszek Dobrowolski

umarł dnia 11-go lipca 1896 r.

Tout comprendre — beaucoup pardonner.

Stoimy nad mogiłą politycznego przeciwnika. Padł wódz wielkiej armii, z którą długie i ciężkie staczaliśmy walki, — więc zwyczajem rycerskim broń prezentujemy. Życie ś. p. Dobrowolskiego było jednak tak ściśle złączone z rozwojem społeczno-politycznym i umysłowym dzielnicy naszej i tak dominującą w rozwoju tym odegrało rolę, że trudno nam, nie powołanym do roli nadwornych poetów, poprzestać na akcie hołdu konwencyonalnego.

Gdy przed kilku miesiącami społeczeństwo uczciło jubileusz redaktorskiej pracy p. Dobrowolskiego, wtedy feljetonista pisma naszego między innemi tak określił charakter zmarłego:

„Dobrowolski, ruchliwy działacz narodowy i dyplomata o prowincyonalnym zakroju. Nie ukochany przez muzy, lecz owładnięty gorączką czynu. Zwycięzca w walce z ultramontanami, pukający po latach kilku do bram Canossy. Przedstawiciel protestu politycznego a później szermierz ugody. Nie króluje nad społeczeństwem umysłem, lecz zdobywa je energią i dyplomacyą. Pozbawiony szerszego grona przyjaciół i wielbicieli, lecz otoczony tłumem zawojowanych i wylękłych. Natura kompromisowa i zarazem samowładcza. Żadnego piętna ideowego na epoce swojej nie wycisnął, — pozostanie po nim jednak pamięć człowieka, który sztandaru narodowego bronił wytrwale, organizował społeczeństwo w rozlicznych kierunkach życia i lubo walczył uporczywie z demokratycznym rozwojem zaboru pruskiego, zaborowi temu oddał niezaprzeczone usługi w boju z germanizmem“.

Ta szkicowa sylwetka nie wyczerpuje może całego materyału, który nasuwa dokładne studyum duszy i życia ś. p. Franciszka Dobrowolskiego, — zawiera jednak najcharakterystyczniejsze rysy człowieka, który przez ćwierć wieku w publicznych pracach dzielnic kresowych niepoślednią odgrywał rolę. W sylwetce tej mieści się rówież odpowiedź na pytanie, w czem tkwi rozwiązanie zagadki powodzeń Franciszka Dobrowolskiego, — dla czego obcy ten przybysz, pozbawiony wybitniejszych sił umysłowych i atakowany niejednokrotnie przez ludzi wielkich zdolności, przewyższających go pod każdym względem wiedzą, talentem, głębokością poglądów, utrzymał się tak długo na eksponowanem stanowisku i niemal berło królewskie w ręku swojem dzierżył. Pracował... pracował bezustannie, wszędzie był, wszystkiego się imał i owładnięty ambicyą władzy, ambicyi tej życie poświęcił, a gdy tych lub owych zajęć na barki swoje brać nie mógł, starał się zwykle o łudzące pozory, że działa, że króluje, że inicyatywa jest jego własnością. Oczywiście dla wtajemniczonych w stosunki życia naszego jasnem jest zupełnie, że aureolę pracy i wszechstronnych działań zdobył sobie nieboszczyk nietylko dzięki własnej ruchliwości, lecz dzięki tej potężnej sile pomocniczej, którą stanowił „Dziennik Poznański“. Któż u nas przed laty dziesięciu bez pomocy „Dziennika“ zdołał w ruch wprawić jakiekolwiek działanie publiczne?! Wstępował więc jeden za drugim do redakcyi i tam składał pomysły swoje, tam musiał prosić o akcept. Zręczny redaktor z właściwym sobie sprytem kładł nieraz stempel na cudzych myślach i cudzej pracy, a firma jego błyszczała często tam, gdzie inni byli duszą działania. Gdy jednak ci „inni“ zbyt czujnie strzegli swoich praw własności, gdy samodzielności zrzekać się nie chcieli, wtedy zdarzało się nieraz, że dla braku poparcia więdły ich pomysły i plany, a dopiero później podjęte obcą ręką, rozwijały się pod skrzydłami „Dziennika“, z kartą wizytową redaktora na czole. Dla uniknięcia błędnych komentarzy raz jeszcze podnosimy z naciskiem, że ruchliwość, nieugiętość i energia śp. Franciszka Dobrowolskiego jest niewątpliwie kluczem jego powodzeń i jego rozgłosu, — że jednak z bilansu pracy nieboszczyka należy wyłączyć poważną cyfrę na korzyść pisma, którem kierował wszechwładnie, a które było potężnym pomocnikiem dla jego działań, wpływów i pozorów.

Nie ulega też dla nas żadnej wątpliwości, że nad temi zwłokami, które tłum kilkotysięczny odprowadził na miejsce spoczynku, żal byłby większy i powszechniejszy, gdyby ś. p. Franciszek Dobrowolski był ograniczył działalność swoją do ciaśniejszego zakresu, lecz ta niezwykła gorączka czynu i chorobliwa gorączka władzy, która mu duszę opanowała, pchała go dalej i dalej, do coraz nowych zajęć, w coraz to nowe dziedziny. Stało się zatem to, co stać się musiało. Człowiek przeciążony pracą często nie sprostał zadaniom, lub zaprowadził w instytucyach, któremi kierował, ślimaczy stan wegetacyi. Przypominają się tu zaiste następujące słowa wypowiedziane o zmarłym redaktorze Dziennika w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania 1863 r.“: „*Dobrowolski w swej osobie skupiać się starał wszystkie teki spraw wewnętrznych, zagranicznych i skarbu, — a że wszystkiemu nie mógł podołać, stagnacya zapanowała tam, gdzie niedawno praca wrzała.*“ Może to za ostre słowo, ale podobnym był zmarły za młodu, podobnym pozostał aż do końca życia.

Jeżeli jednak dobrze pojęty obowiązek publicystyczny zmusza nas do oświetlenia tej nieco ujemnej strony ś. p. Franciszka Dobrowolskiego, to z drugiej strony nie wahamy się ani jednej chwili uchylić czoła przed tym ogromem pracy narodowej, której życie całe poświęcił. Nie sądźmy za ostro motywów, jeżeli rezultaty i cele w znacznej przynajmniej mierze były dodatniej natury. Ten człowiek kochał bardzo *siebie*, ale kochał też całą duszą *ojczyznę*, więc w imię tej miłości, w imię niezmordowanej obrony praw narodowych, w imię tych okopów obronnych, które sam sypał lub sypać pomagał, należy mu się uznanie i cześć społeczeństwa.

Dla nas, którym na ciasnym gruncie poznańskim, w bezpośredniem sąsiedztwie śp. Franciszka Dobrowolskiego żyć i działać wypadło, trudno jest niesłychanie zapomnieć o tych wszystkich słabościach zmarłego, których widz patrzący z pewnego dystansu ocenić nie umiał, które jednak utrudniały niesłychanie wspólną z nieboszczykiem pracę. Śp. Franciszek Dobrowolski wiedział dokładnie, że natura go wybitną siłą umysłową nie uposażyła, i dla tego lękał się nieustannie, by u boku jego nie wyrósł ktoś ponad innych i do wyżyn jego nie sięgnął. To też z zadziwiającą zręcznością tak kierował stosunkami, że na plan pierwszy wysuwał zawsze ludzi przeciętnych, pozbawionych silniejszego indywidualizmu, bez górujących zdolności, bardzo posłusznych i bardzo zależnych. Odbywały się przez ćwierć wieku w społeczeństwie naszem operacye dziwa

czne przy pomocy wielkiego strychulca i, co za tem idzie, nastało królestwo miernoty.

Zapominać zresztą nie wolno i o tem, że zasadniczą barwą całej ery Dobrowolskiego był elastyczny oportunizm. Tajemnica powodzeń zmarłego tłomaczy się i tem, że nie był to człowiek żelaznych przekonań, wyciskający na społeczeństwie piętno własnej idei, lecz natura odczuwająca dokładnie każdą zmianę wiatrów i stosownie do nich rozpinająca swe żagle.

Szedł zawsze z prądem, umiał się uginać, umiał ustępować, a kto należycie rozważy wpływy „Dziennika Pozn.“ ten z łatwością zrozumie, że przykład taki musiał spowodować pewne obniżenie pojęć etycznych w społeczeństwie, które dziś nie w znaku bronzu, lecz w znaku gumy stanęło.

Z drugiej strony jednak rozbudzenie zmysłu organizacyjnego w dzielnicach kresowych jest niezaprzeczoną, a ze stanowiska interesów narodowych doniosłą zasługą śp. Dobrowolskiego. Porównując stan naszej obrony politycznej z stosunkami przed dwudziestu laty, przekonamy się łatwo, że w tym kierunku zabór pruski rozwinął się nadspodziewanie, a rozwój ten w znacznej mierze zawdzięcza niezmordowanej, bezustannej, czujnej pracy zmarłego redaktora. Nauczyliśmy się budować wały ochronne, a jednym z najlepszych nauczycieli był śp. Franciszek Dobrowolski.

Jakie będą dalsze losy „Dziennika Poznańskiego“, tego dziś jeszcze przewidzieć nie można. Organ ten był dotychczas reprezentantem pewnej warstwy, która przed 20 laty miała może prawo identyfikować własny interes z interesem całego społeczeństwa, ale dziś w obec zupełnie przekształconych warunków ekonomicznych i społecznych prawo to utraciła stanowczo. Jeżeli „Dziennik Pozn.“ pragnie nadal dominujące stanowisko swoje w zaborze pruskim zachować, powinien niezwłocznie ewolucyi tej głębszą poświęcić uwagę, aby nagle nie zrozumiał, że przespał całe lat dziesiątki, że jest umarłym wśród żywych. Niech się przebudzi, bo coraz głośniej brzmi już głos przestrogi: „I takie cienie chcą ludźmi rządzić?!“



Przegląd prasy polskiej.

K o b i e t a w n o w y m k o d e k s i e n i e m i e c k i m. W warszawskim tygodniku „G ł o s i e“ czytamy:

Centralizacya państwowa, która jest cechą historyi Niemiec w bieżącem stuleciu, zrobiła krok naprzód. Niemal w tym samym czasie, gdy protest ks. Ludwika na bankiecie w Moskwie rozżarzył partykulastyczne uczucia ludu bawarskiego, — parlament niemiecki postawił kropkę pod dziełem zjednoczenia Niemiec, uchwalając jednolity kodeks cywilny, który od początku XX-go stulecia obowięzywać ma w całych Niemczech. W tym znaczeniu posłowie, którzy go uchwalili, przejdą do historyi wieku przyszłego.

Prawodawcy niemieccy nie poszli za radą znakomitego filozofa i nie patrzyli na dzieło swoje „sub speciae aeternitatis“. Dalecy od tego, nietylko nie uwzględnili zmian społecznych, mogących zajść w przyszłości, ale nawet pozostali obojętni na dążenia w chwili współczesnej. Dzieło ich — to nie pomnik wielkości germańskiej, ale smutne świadectwo formalizmu, zatęchłych pojęć prawników niemieckich i niemożności wyzwolenia się z pod ciężkiego prawa rzymskiego.

Jak prawo dziesięciu tablic, tak i kodeks niemiecki okazał się okrutnym dla kobiety. Ale wieki minęły od czasu stworzenia pierwszego pomnika prawa rzymskiego. Zmienione warunki życia sprawiły, że kobieta przestała być wyłącznie kapłanką domowego ogniska, romantyczną Szarlotą werterowską. Zaostrzona walka o byt i ją wciągnęła w swe tryby. Ale cóż to obchodzi prawodawców niemieckich! Dla nich zawsze jeszcze „mężczyźnie służy prawo rozstrzygania we wszystkich wspólnego pożycia dotyczących sprawach; oznacza on zwłaszcza miejsce pobytu i obiera mieszkanie.“ Według nich „majątek żony przez zawarcie małżeństwa oddany jest w zarząd i używalność męża; do wniesionego majątku należy i ten, który żona w stanie małżeńskim zapracuje.“

Naprożno mówcy mniejszości zwracali uwagę na barbarzyństwo tego paragrafu. Naprożno wykazywali oni, że odbije się on ciężko szczególnie na najbiedniejszych klasach pracujących, gdzie ekonomiczne równouprawnienie kobiety oddawna jest faktem dokonanym, że oddaje on częstokroć w ręce męża pijaka zarobek żony, jedyne źródło utrzymania dzieci. Naprożno wreszcie baron Stumm, znany konserwatysta, postawił poprawkę. aby w „braku umów małżeńskich następował podział dóbr“, mając właśnie na myśli interesy biednych, którzy przy zawieraniu małżeństw intercyz nie spisują. Większość pozostała głuchą na te i inne argumenty.

Niewolnictwo kobiet, faktycznie zatwierdzone przez nowy kodeks, mają one do zawdzięczenia stronnictwu centrum. Stronnictwo to było niezaprzeczenie arbitrem sytuacyi... Przyłożyło ono rękę do oburzającego prawa.

Obok centrum po stronie rządu stanęli naturalnie junkrzy pruscy i konserwatyści wszelkich odcieni. Zjednoczenie wolnomyślne, wolnomyślna partya ludowa i socyaliści stanowili mniejszość; do niej należało też kilku konserwatystów, jak baron Stumm, Schönaich — Carolath i inni. I stała się rzecz dziwna: widzieliśmy ludzi zwalczających się zazwyczaj zajadle, zjednoczonych w imię wyższej zasady sprawiedliwości.

A Polacy? Polacy głosowali za wszystkiemi wnioskami rządowemi. Wynaleźli oni sobie nową politykę, opartą na subtelnem rozróżnieniu pomiędzy Niemcami i Prusakami. Postanowili drugich zwalczać na każdym kroku, a popierać za to ogólne interesa pierwszych. Ponieważ kodeks jest dziełem wszechniemieckiem, więc w myśl zasady wart był poparcia posłów polskich. Dziwna zaiste polityka! Ale Koło polskie w Berlinie takie ciągle gotuje nam niespodzianki, że z tej strony wszystkiego spodziewać się można...

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

I.

Miałam lat dwadzieścia dwa, gdy zamieszkałam w Petersburgu — trzy miesiące przedtem ukończyłam jeden z zagranicznych uniwersytetów i powróciłam do Rosyi z dyplomem doktora w kieszeni. Po pięcioletniem cichem, prawie pustelniczem życiu w małem uniwersyteckiem miasteczku, uczułam się nagle porwaną w wir życia stolicy. Na pewien czas zapomniałam w zupełności o funkcyach analitycznych, przestrzeni, czterech wymiarach, wogóle o tem wszystkiem, co jeszcze przed niedawnym czasem wypełniało moje myśli, stanowiąc mój cały świat wewnętrzny i oddałam się całą duszą nowemu życiu; robiłam znajomości na prawo i na lewo, usiłowałam dostać się do rozmaitych towarzystw i z palącą ciekawością śledziłam zjawiska tego zagmatwanego, w gruncie tak czczego, ale na pierwszy rzut oka tak ponętnego chaosu, zwanego życiem światowem. Wszystko zajmowało mnie i cieszyło: teatry, wieczory dobroczynne i literackie ze swojemi niekończącemi się nigdy dyskusyami. Zwykli słuchacze byli już niemi znudzeni, dla mnie jednak sprzeczki te miały cały urok nowości. Oddawałam się im z zapałem do jakiego tylko Rosyanin może być zdolny, tak rozmowny z natury, który przez pięć lat skazany był wyłącznie na towarzystwo paru specyalistów, oddany tak swoim studyom, że żaden z nich nie mógłby pojąć, jak można marnować czas, tracąc go na niepotrzebnej gadaninie. Przyjemność, jakiej sama doznawałam, udzielała się memu otoczeniu: rozbudziłam nowe życie w kołach, w których najczęściej przebywałam. Sława uczonej kobiety otaczała mnie rodzajem aureoli, znajomi spodziewali się czegoś nadzwyczajnego po mnie. czasopisma rozpisywały się, głosząc o mem przybyciu, a rola sławnej kobiety tak nowa, choć sprawiała mi pewien kłopot, z początku bawiła jednak niemało. Słowem, byłam w najrozkoszniejszem usposobieniu — przeżywałam, że tak się wyrażę, w tym okresie *lune de miel* mej sławy; gotowa byłam zawołać; „Wszystko jest najlepiej urządzone na tym najlepszym ze światów.“

Dzis byłam w szczególnie dobrym humorze. Wczoraj mieliśmy wieczór w redakcyi nowo założonego pisma i ja byłam zaproszoną na współpracowniczkę. To nowe przedsiębiorstwo zajmowało wielce wszystkich współpracowników, a roboty redakcyjne odznaczały się nadzwyczajnem ożywieniem. Około trzeciej nad ranem przyszłam do domu i wstałam z tego powodu późno, siedziałam długo przy śniadaniu, przeglądając gazety. W jednej z nich znalazłam ogłoszenie, że poszukuje się nabywcy na rzeźbioną szafę na książki. Pojechałam, aby szafę tę obejrzeć. Na drodze spotkałam w tramwaju znajomą panią, która również jak i ja była członkiem komitetu: „wyższych kursów dla kobiet,“ otwartych właśnie w tym czasie; mówiłam z nią o „interesach,“ odwiedziłam potem paru znajomych i około czwartej godziny wróciłam do domu..

Teraz siedziałam spokojnie przed kominkiem, rozglądałam się z zadowoleniem po mej pięknie urządzonej pracowni. Po pięcioletniej włóczędze po rozmaitych pokojach umeblowanych u niemieckich gospodyń, byłam obecnie rada, że mam nakoniec swój własny miły kącik.

W przedpokoju dał się słyszeć dzwonek. „Kto to może być?“ pomyślałam, wyliczając w myśli nazwiska wszystkich znajomych. Z pewnym niepokojem spojrzałam w zwierciadło. Wesoła młoda kobieta w skromnem futrze sukiennem weszła do pokoju. Z powodu mego krótkiego wzroku nie mogłam zrazu rozróżnić, czy tą osobę znam, czarna chustka zasłaniała jej twarz w zupełności. Z pod niej wyglądał tylko mały nosek, zaczerwieniony od mrozu, tem trudniej było mi odgadnąć kogo w nowoprzybyłej mam powitać, powstałam, podeszłam

Skutki upośledzenia kobiety w nowym kodeksie łatwo są do przewidzenia. Widzieli je ci konserwatyści, którzy występowali przeciwko niemu. Kobiety niemieckie, nie znajdując poparcia dla swych skromnych żądań w stronnictwach rządzących dziś i potężnych, przerzucą się do tych, które ich interesów bronią i szersze ich uwzględnienie obiecują. Wpływ kobiet w życiu społecznem jest olbrzymi. Jako żony i matki, szczególnie w Niemczech, bywały one zbyt często hamulcem daleko idących pragnień i ideałów ich mężów i synów. Wzgardzone i podeptane przez nowe prawa mogą się stać ich gorliwemi sprzymierzeńcami. Zrażając sobie taką siłę społeczną, dotykając ją w najważniejszych jej interesach, rząd niemiecki i ci, co za nim poszli, popełnili błąd, którego skutki poczują, zanim nowy kodeks wejdzie w życie. Ale wtedy na lekarstwo będzie już zapóźno."

* * *

Gdzie się podziała konstytucya pruska? W „Dzienniku Kujawskim" (Nr. 156) czytamy:

„Konstytucya pruska zapewnia równość w obec prawa wszystkim obywatelom państwa. Tymczasem patrząc na to, jak różne organa władzy traktują niektóre polskie towarzystwa, zwłaszcza na Górnym Szląsku, zwątpić rzeczywiście można, czy żyjemy w państwie konstytucyjnem.

„Towarzystwo przemysłowców polskich" w Katowicach na Górnym Szląsku, którego prezes p. Lewandowski niedawno, jak już donosiliśmy, skazany został na 100 m. kary za rzekome niewypełnienie przepisów prawnych, urządził w ubiegłą niedzielę z okazyi czwartej rocznicy założenia zabawę latową, na którą przybyło kilka sąsiednich towarzystw. — Zarząd wystósował do policyi podanie o pozwolenie na pochód przez miasto z muzyką i sztandarami, jakie urządzają podczas takich uroczystości wszystkie niemieckie towarzystwa tamtejsze, ale policya nie dała pozwolenia. Niedość na tem, równocześnie policya oświadczyła, że jakakolwiek demonstracya polska na zabawie będzie powodem do natychmiastowego zamknięcia uroczystości. Z powodu tego udali się członkowie i goście pojedyńczo do lokalu, gdzie miała się odbyć zabawa, a chorążowie osłonili sztandary futerałami. Tylko Tow. „Lutnia" z Bogucic nie miało futerału dla znaku swego w kształcie liry, i tę lirę, gdy reprezentant towarzystwa chciał z nią wejść do lokalu, policya zabrała i do dziś dnia trzyma pod kluczem. Aby nadać uroczystości tej charakter groźny dla państwa przysłano: prócz komisarza i wachmistrza policyjnego pięciu policyantów, a nadto przybyli: z Bytomia pułkownik żandarmeryi, dalej pograniczny komisarz p. Maedler, będący cenzorem pism polskich i dozorujący zebrania polskich Towarzystw, wreszcie z okolicy 12 żandarmów. Ma się rozumieć, że nagromadzenie tylu stróżów bezpieczeństwa zrobiło w mieście wielkie wrażenie, boć spodziewano się po takiem rozwinięciu siły zbrojnej co najmniej... rewolucyi polskiej.

Gospodarz lokalu, w którym się uroczystość odbyła, ma zwykle pozwolenie przyjmowania gości aż do godz. 1 po północy. W tym dniu zaś kazała mu policya zamknąć lokal już o godz. 11-tej

Zażalenie wystósowane przez zarząd do rejencyi w Opolu pozostało po dziś dzień bez skutku i bez odpowiedzi. Rejencya odtelegrafowała tylko, że odpowiedź nadejdzie, gdy policya nadeśle sprawozdanie, ale dotychczas odpowiedzi nie ma.

Rzeczywiście wyrazić trzeba uznanie tamtejszym rodakom naszym, że w obec takiego traktowania zachowali krew zimną i „bawili" się jak mogli.

Ale przeszło 350 uczestników obchodu rozeszło się i rozjechało, wprawdzie w spokoju, lecz w przekonaniu, że traktowani bywają jako obywatele drugorzędni i w poczuciu doznanej krzywdy.

My zaś pytamy: Gdzie się podziała konstytucya pruska?

* * *

Obchody narodowe w Galicyi. W ostatnim numerze zamieszcza następujące uwagi „Przegląd Wszechpolski":

„Każdy obchód smutny czy radosny jest właściwie manifestacyą uczuć narodowych i powinien być uroczystym, w przeciwnym razie nie warto go wcale urządzać. Nie chodzi przecie o wdrażanie w pamięć ludności lat historycznych. Takie obchody, jakie kilka razy do roku, co najmniej, urządzane są w Galicyi, wyglądają jak parodye uroczystości narodowych. Nie budzą one, nie podnoszą uczuć narodowych, ale je kompromitują. Nie udają się one z dwóch przyczyn: powtarzają się za często, a ci, co je urządzają, chcieliby wykazać swój patryotyzm i zarazem uniknąć niezadowolenia sfer wyższych. Bo t. zw. sfery rządzące w Galicyi, naturalnie, nie lubią wszelkich obchodów, a tembardziej obchodów, w których lud bierze udział gromadny. Sobieski nic matadorom galicyjskim i stańczykom nie zawinił, dla Austryi położył nawet wielkie zasługi, można więc pamięć jego uczcić, nie obrażając lojalizmu, ale nie trzeba przyuczać ludu do gromadzenia się, do wylęgania na ulice i słuchania mów lub śpiewania pieśni patryotycznych. Urządzono więc obchód, ale zamknięto go w kościele w sali ratuszowej, w szkole.

Patryoci i „demokraci starego autoramentu" nauczyli się przystosowywać swoje uczucia i zamiary do wymagań sfer wyższych. W parku stryjskim postawiono np. pomnik Kilińskiego, ale przy odsłonięciu jego nie było żadnej uroczystości. Załatwiono się z tem po cichu, ukradkiem. Spełniono obowiązek patryotyczny, nie narażono się wcale władzy i stańczykom. Młodzież rzemieślnicza chciała to naprawić: pewnego wieczora oświetliła pomnik lampkami i odśpiewała przed nim chórem kilka pieśni patryotycznych. Skromnemu uczczeniu pamięci szewca-bohatera przypatrywała się gromadka ludzi. Nie chcemy ubliżać dobrym chęciom poczciwej młodzieży, ale robiło to bardzo przykre wrażenie. Dużo rozprawiają zachowawcy i demokraci o tem, że propaganda socyalistyczna osłabia w warstwie pracującej poczucie narodowe. Czyż w taki skromny sposób należało hołd oddać pamięci szewca-patryoty?"

—*ski.*

---

do gościa uprzejmie, ale z pewnem zdziwieniem.

— Przepraszam, że naprzykrzam się pani, choć jej osobiście nie znam — powiedziała przybyła — jestem Wiera Barancow. Pani zapewne nie pamięta już mego nazwiska, chociaż rodzice nasi sąsiadowali z sobą. Czytałam o pani niedawno w gazetach, wiem, że pani studyowała długo za granicą, a wszyscy mówią, że pani jesteś dobrą, poważną osobą. Przyszło mi więc zaraz na myśl, że pani mogłaby mi przyjść w pomoc radą swą.

Wszystko to wypowiedziała szybko, jednym tchem, głosem nadzwyczaj przyjemnym. Pierwszy raz zwrócił się do mnie ktoś obcy z prośbą o radę, byłam zmieszana i przyjemnie zdziwiona.

— Ach, cieszę się bardzo! proszę, niech pani usiędzie, proszę bardzo, niech pani złoży futro — jąkałam zakłopotana.

Wiera zdjęła chustkę z głowy. Piękność jej nadzwyczajna uderzyła mnie.

— Jestem sama na świecie i niezależna, moje osobiste życie już skończone, dla siebie samej nie pragnę i nie oczekuję niczego, ale gorącem mem, jedynem życzeniem jest być pożyteczną „sprawie." Niech mi pani powie, niech mnie pani pouczy, jak i co robić — powiedziała Wiera nagle, przystępując odrazu do celu swych odwiedzin.

W każdej innej byłby ten szczególny, niespodziewany wybuch niemiłym, wyglądałby afektacyą, ale Wiera mówiła tak prosto, głosem tak szczerym i błagalnym, że wcale mi nie przyszło na myśl dziwić się. Ta wysoka smukła dziewczyna, z tą bladą twarzą i temi myślącemi błękitnemi oczyma, stała mi się naraz bardzo bliską, bardzo sympatyczną. Lękałam się tylko jednej rzeczy, mianowicie, że na jej zaufanie nie zasłużyłam, że nie będę w stanie dać jej jakiejś użytecznej rady. A moje własne życie, jakie pędziłam przez ostatnie cztery miesiące, wydało mi się teraz bezmyślnem i pustem. Nagłe wyrzuty sumienia ukąsiły mnie w serce.

— Co ja jej powiem, jak jej pomogę?

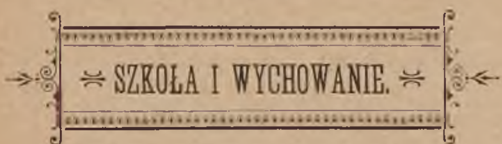
Nie wiedziałam jak rozpocząć, prosiłam więc Wierę, aby usiadła i kazałam podać herbaty. W Rosyi nie można prowadzić rozmowy bez samowara. Co mnie u Wiery zaraz z początku uderzyło, — to jej obojętność na otoczenie. Podobną była do jasnowidzącej, której wzrok i uwaga, pochłonięte jednym przedmiotem, czynią niewrażliwą na świat zewnętrzny. Pytałam jej, jak dawno bawi w Petersburgu, czy znalazła dobre mieszkanie. Ale na te wszystkie pytania odpowiadała z roztargnieniem, małostki życia nie interesowały jej. Chociaż nigdy dotąd nie była w Petersbugu, ruch i życie stolicy nie zadziwiały jej. Cała zajęta była jedną myślą: znaleść cel życia. Ta młoda dziewczyna tak niepodobna do tych, które znałam dotąd, pociągała mnie dziwnie, usiłowałam pozyskać jej pełne zaufanie. Powiedziałam jej, że muszę ją pierwej poznać dobrze, nim jej rady jakiejś udzielę, aby mi opowiedziała przeszłość swoją. Wiera sama chciała mi się zwierzyć i odpowiadała szczerze i otwarcie na wszystkie moje pytania.

Po paru tygodniach czytałam w jej sercu, jak tylko kobieta w sercu drugiej kobiety czytać może.

II.

Rodzina hrabiów Barancow należy do arystokratycznych, choć nie można o niej powiedzieć, żeby należała do bardzo starych rodów. Jej drzewo genealogiczne sięga wprawdzie aż do Ruryka, ale wolno wątpić o wiarogodności dokumentów, fakt ten stwierdzających. Pewnem jest tylko to, że niejaki Iwaszko Barancow służył, jako szeregowiec, w gwardyi najjaśniejszej cesarzowej Katarzyny II.; był wysoki na dobry sążeń, był rumiany i umiał tak dobrze służyć najjaśniejszej pani, że w nagrodę tych zasług został mianowany kapralem, dostał posiadłość i 500 dusz, a do tego tysiąc rubli w gotówce. Dusze były wtedy tanie, a pieniądze drogie. Od owego czasu datuje się wielkość rodu Barancowów. Tytuł hrabiowski pozyskali za Aleksandra I., na którego dworze piękna pani Barancow znakomitą odgrywała rolę.

Zresztą w kronikach tego rodu zapisane są nietylko szczęśliwe zdarzenia; w ostatnich stu latach spadały nań rozliczne niepowo-



Wychowanie publiczne w Anglii.

II.

Dość smutny natomiast obraz przedstawiają utrzymywane z zapisów szkoły drugiego i trzeciego stopnia tak zw. „grammer-schools“ na wsi i po małych miastach. Szczupłe środki, niekorzystne położenie i nieudolne kierownictwo obniżyły ich poziom do tego stopnia, że często nie różnią się niczem od lichych szkół elementarnych. Należałoby zamknąć znaczną ich liczbę, a otrzymane w ten sposób siedliska zużyć w skuteczniejszy sposób na wychowanie publiczne. Ogółem zakłady te naukowe wychowują 0,25 procent ludności, 21,878 chłopców i dziewcząt w siedmiu zbadanych dokładniej przez komisyą hrabstwach Anglii (1893).

Co najmniej równają się pod względem swego znaczenia tym zakładom, utworzonym z zapisów, szkoły utrzymywane przez stowarzyszenia; mianowicie szkoły tego rodzaju co Marlborough, Cheltenham, Clivftin, Melvern College itd. cieszą się zasłużoną sławą. Przedewszystkiem około wychowania dziewcząt towarzystwa te akcyjne położyły w ostatnich lat dziesiątkach nie małe zasługi; same tylko „Girls Public School Company“ (założone 1872 r.) utrzymuje 36 szkół z 7111 uczennicami. Większe ze szkół tych są zresztą jednocześnie, lub zamieniają się z czasem w zakłady ufundowane. W siedmiu hrabstwach, o których nadmieniono powyżej, uczęszczało (1893 r.) do tych szkół 39,298 chłopców i dziewcząt.

Liczba szkół prywatnych waha się pomiędzy 10,000 a 15,000. Z nielicznemi wyjątkami należą one do zakładów drugiego i trzeciego stopnia, wiele z nich przygotowuje uczniów do szkół publicznych. Zwłaszcza tam, gdzie istnieją szkoły publiczne, zakłady te prywatne marny wiodą żywot. I wykład w nich, mimo niewątpliwego postępu, jest biorąc na ogół mało zadawalający i domaga się uregulowanego dozoru. Komisya sądzi jednak, że nie należy żadną miarą tłumić w szkolnictwie inicyatywy prywatnej, ponieważ zapewnia ona wychowaniu publicznemu rozmaitość i ruchliwość.

Dozór nad szkołami i egzaminowanie uczniów powierzone jest rozmaitym władzom. „Charity Commission“ uprawnione jest do wizytowania szkół ufundowanych, z prawa tego jednak korzysta ona w bardzo ograniczonych rozmiarach. Wielkim wpływem cieszy się natomiast „Science and Art Department“ w Kensington, który udziela za odznaczenie się w wydziałach technicznych, w naukach przyrodniczych i matematyce wsparć, nagród i stypendyów pojedyńczym klasom i szkołom (w 1893 r. 173,869 funtów szterlingów.) Wiele szkół skazanych jest w swem istnieniu na tę pomoc, i z tego powodu główny kładą nacisk na nauki techniczne i przyrodnicze.

Wyższe szkoły elementarne i klasy uzupełniające, których liczba wynosi w Anglii z wyłączeniem Londynu 74, podlegają departamentowi wychowania, a rólnicze szkoły i klasy dozorowane bywają przez radę rolniczą, która wyznacza rocznie 8000 funtów na te zakłady.

Wielkie znaczenie posiada tak zw. „rozszerzenie uniwersytetu“ polegające w kursach odczytów z wszystkich dziedzin wiedzy i miejscowych egzaminach w szkołach. W tem miejscu obchodzą nas jedynie egzamina. Egzamina te, dzielące się na trzy stopnie, uprawniają do studyum medycyny, prawa, budownictwa, techniki, farmacyi, weterynaryi itp. i uwalniają od egzaminu wstępnego w uniwersytecie. Oxford egzaminował w 1893 r. 3737, Cambridge 8,817 uczniów. Oprócz tego zasługuje jeszcze na wymienienie College of Preceptors, założone w 1846 r., korporacya odbywająca półroczne egzamina również w trzech klasach. Mianowicie szkoły prywatne, poddają się tym egzaminom, które uprawniają do studyum medycyny i prawa.

Środki finansowe, któremi rozporządza wyższe wykształcenie szkólne, są dziś znaczne. Komisya oblicza je na 2 i pół miliona funtów szterlingów rocznie. Suma ta składa się z zapisów, kwot wyznaczanych przez „Science and Art Department“, rozmaitych wsparć, udzielanych przez parlament, mianowicie z tak zw. „napiwnego“ tj. nadwyżki podatku od piwa i spirytusu (Local Taxation Act. 1890) i podatków w wysokości 1 pensa od funta szterlingów. Do rozpisania tego podatku upóważnił parlament rady hrabstw, celem podniesienia „technicznego wykształcenia“.

Widzimy więc, że w ostatnich czasach zdziałano w Anglii dość wiele na polu wychowania publicznego. Brak jednak wszędzie organicznego związku i jednolitej myśli przewodniej. Tem się też tłomaczy, że w niektórych miejscowościach odczuwać się daje dotkliwy brak szkół, gdy w innych wytwarzają sobie niepotrzebną konkurencyę, że dalej pomiędzy wyższemi a niższemi szkołami nie ma najmniejszego związku, co utrudnia przechodzenie z jednych do drugich, że wreszcie pieniądze często wydane bywają bez należytego celu i skutku. Plan nauki wykazuje także pewną jednostronność. Przyznawane przez parlament i Science and Art Department wsparcia na przedmioty techniczne i przyrodnicze spowodowały, że zaniedbywano często tak zw. „literackie przedmioty“ czyli języki, historyę, geografię itd. i cała nauka otrzymała filistersko-praktyczny kierunek. Liczne wreszcie, wyłącznie prawie piśmienne egzaminą wywołują bezmyślne wtłaczanie („cramming“) wiedzy, posiadające dla istotnego wykształcenia umysłu podrzędne bardzo znaczenie.

I stanowisko nauczycieli i nauczycielek pozostawia wiele do życzenia. Wprawdzie zorganizowali się oni w ostatnich lat dziesiątkach w znacznej części jako stan w odpowiednich stowarzyszeniach, ale łatwość dymisyi, i liche przeważnie wyposażenie stoi na przeszkodzie publicznemu uznaniu tego stanu. Odczuwać się też daje brak sposobności do racyonalnego pedagogicznego przygotowania. Celowi temu służy jedynie „Teachers Training Syndicate“ przy uniwersytecie w Cambridge, który jednak kształci wyłącznie tylko nauczycielki. College of Preceptors“ zamierza obecnie założyć w Lon-

---

dzenia. Wszyscy Barancowowie odznaczają się gwałtownością i niepowściągliwością, a te właściwości bywały zawsze powodem nieszczęść. Nie jeden wielki majątek przegrali w karty, roztrwonili na konie i kobiety.

Szczęście rodziny Barancow zaćmiło się czasowo, ale łaska Boga sprawiła, że lekka ta chmurka rozwiała się znowu. Jakiś członek rodziny Barancow umiał tak urządzić, że w porę oddał wielką usługę cesarzowi i ojczyźnie i na miejsce utraconych wróciły nowe wielkie dobra tak, że rodzina Barancow wzrastała w powagę i znaczenie. Chociaż te nowonabyte dobra znowu roztrwonione zostawały, przechował się w tej rodzinie jeden cenny skarb, przechodząc z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna, z matki na córkę: nadzwyczajna piękność. Nie było w tym rodzie ani jednego odstręczającego, brzydkiego, wogóle nie — pięknego.

Hrabiowie Barancow żenili się z pięknościami, a piękne ich córki znajdowały zawsze pięknych mężów, tak się dobierali, jak gdyby przeczuwali teoryę Darwina. Na skutek tego zachował się typ familiny w czystości. Jest on tak znanym, że jeżeli się komuś z arystokracyi rosyjskiej powie: „on albo ona ma twarz Barancowów,“ zaraz staje w wyobraźni piękna wyniosła postać, biała owalna twarz z lekko zaróżowionemi policzkami, niskie szerokie czoło z delikatnemi niebieskiemi żyłkami na skroniach, włosy czarne, jak krucze pióra i niebieskie czarnemi rzęsami ocienione oczy. Kto tego obrazu przy tych słowach w wyobraźni swej nie widzi, ten nie należy widocznie do arystokracyi.

Ten typ Barancowów był silny i długotrwały. W dobrych starych czasach, w czasach pańszczyzny, widziano nieraz, że przechodził na chłopów i na służbę dworską. Było to przecież rzeczą nadzwyczajną, jeżeli młodzi panicze przepędzali czas w swych dobrach, to przychodziły wtedy na świat w wiejskich chatach dzieci z twarzyczkami Barancowów: miały szlachetne rysy dzieci ze dworu.

Hrabia Michał Iwanowicz Barancow był zasłużonym potomkiem swojej rodziny, oprócz swej piękności miał jeszcze i to szczęście, że urodził się na początku panowania Mikołaja, w czasie pełnego rozkwitu petersburskiej gwardyi. Po kilku latach służby w pułkach kirasyerów pozdobywał tak wiele serc kobiecych, że zasłużył sobie na przydomek: „postrach mężów.“

Jeszcze w młodym wieku zakochał się w swej dalekiej krewnej Maryi Dymitrównie Hudrawcew, która na pięknej swej i jakby przez artystę wyrzeźbionej twarzy wyraźne piętno typu Barancowskiego nosiła. Pozyskawszy jej wzajemność, ożenił się z nią i pozostał dalej w służbie. Byłby może dosłużył się wysokiego stopnia, lecz w początkach panowania Aleksandra II zdarzyła mu się mała nieprzyjemność. Przyczyna tejże leżała także w krewkości Barancowów i w ich niebezpiecznej piękności. Michał Iwanowicz, zazdrosny o swoją żonę, wyzwał oficera gwardyi i zabił go w pojedynku. Sprawę tę jakoś zatuszowano, ale młodemu hrabiemu było przecież nieprzyjemnie pozostać w pułku po tym wypadku; prosił o uwolnienie i pojechał do swego majątku, który odziedziczył po ojcu, zmarłym właśnie w tym czasie.

Było to w roku 1857. W Petersburgu chodziły głuche wieści o uwłaszczeniu chłopów, ale do Barków (tak nazywała się wieś hrabiego Barancowa) wiadomości te nie dotarły. Tam szło wszystko po staremu. Jak wielkim był w owym czasie majątek hrabiego Michała Iwanowicza, tego nikt dokładnie nie wiedział, najmniej on sam. Dobra były wielkie, choć nie tak rozległe jak dawniej. Ojciec nieboszczyk lubił również wesoło żyć, a za jego życia wycięto niemałą część lasu i sprzedano wiele dziesiatyn łąk. Michał Iwanowicz opuścił Petersbug po piętnastoletniej służbie, rozumie się nie bez długów. Rządy swoje rozpoczął tem, że sprzedał kawał dóbr, zaciągnął pożyczkę na resztę, aby pokryć stare grzechy. Dotychczas można było wszystko dobrze urządzać, a hrabia nie niepokoił się bynajmniej. Wójt był dzielnym człowiekiem, musiał on wszystko załatwiać bez krzyku, bez niepotrzebnej gadaniny: kiedy hrabia potrzebował pieniędzy, były one zawsze pod ręką.

W czasie swego osiedlenia się na wsi, uważał się hrabia Michał Iwanowicz i hrabina Marya Dymitrówna, pomimo swych

dynie „Day Training College“ (seminaryum), które zapewnić ma także sposobność do ćwiczenia się w nauczaniu w szkołach.

Licznym tym niedogodnościom zapobiedz pragnie plan reform, opracowany przez komisyę. Na czele całego wychowania publicznego stanąć ma odpowiedzialny przed parlamentem minister oświaty, który jednak wyposażony będzie w dość ograniczoną władzę wykonawczą. Wykonywać on będzie dozór nad władzami lokalnemi, udzielać im rady i wspierać oraz bronić szkoły prywatne i utrzymywane przez stowarzyszenia przed bezprawnym uciskiem. Rada wychowawcza, złożona z 12 po części wybranych, w części mianowanych członków stać będzie przy jego boku jako władza kierująca. Rada ta prowadzić będzie urzędową listę nauczycieli i rozstrzygać w kwestyach spornych.

Inicyatywa w wyższem wykształceniu szkólnem przysługiwać będzie głównie nowo utworzonym władzom lokalnym dla wyższego wykształcenia, których okręgi łączyć się będą z utworzonemi przez prawo z r. 1888 wiejskiemi i miejskiemi hrabstwami. Liczba członków tych ciał, którzy również w części wybrani zostaną przez radę hrabstwa, po części mianowani i kooptowani, stosować się będzie do wielkości ich okręgu i wynosić od 14 do 42. Dla Londynu wydane będą specyalne przepisy.

Tym władzom powierzone będzie właściwe staranie w sprawie wyższego wykształcenia szkólnego. Zarządzać one będą rozporządzalnemi funduszami, rozpisywać nowe podatki (2 pensy od funta szterlingów) i dozorować istniejące wyższe zakłady naukowe. Szkoły prywatne i stowarzyszeń podlegają im tylko wtedy, jeśli pragną być „uznane“ za publiczne i zgodzą się na ich rozporządzenia co do planu nauk, przyjmowania, zwalniania i wyposażania nauczycieli. Z tego powodu szkoły te dopuszczane także będą do udziału w stypendyach i nagrodach. Sanitarny jednak dozór władz rozciągać się będzie na wszystkie bez wyjątku szkoły.

Co się tyczy wewnętrznej organizacyi szkół, to komisya powstrzymuje się od wydania obowiązujących przepisów. Przeciwną jest ona szematycznej jednolitości i poleca jedynie, aby więcej kładziono nacisku na ogólne wykształcenie, nie na nabywanie wiedzy, dającej się bezpośrednio zużytkować. Stypendya, zapisy i nagrody uprzystępnić mają przedewszystkiem uboższym jednostkom dobrodziejstwa wyższego wykształcenia, nie jak dotychczas, ułatwiać dobrodziejstwa zamożniejszym.

Dla nauczycieli domaga się komisya urzędowej listy, obejmującej wszystkich, którzy przedstawić mogą świadectwa z naukowego i praktycznego swego uzdolnienia. Otrzymać oni także mają lepsze wyposażenie i prawo apelacyi przeciwko zwalnianiu z obowiązków.

Oto główne zasady reformy wyższego wykształcenia szkólnego, które prawdopodobnie w bliskiej przyszłości uzyskają moc prawną. Podług wypróbowanej angielskiej metody reforma ta opiera się na istniejących stosunkach i stara się ujawniające się w nich bezwiedne tendencye rozwijać i przekształcać. Członkowie komisyi zastrzegają się kilkakrotnie przeciwko przypuszczeniu, jakoby dążyli do zaprowadzenia jednolitego systemu państwowej wszechwładzy na sposób, panujący na stałym lądzie Europy; zachować oni pragną za każdą cenę rozmaitość i żywość angielskiego wychowania. Ich ideał zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy ministeryalną wszechwładzą w Niemczech i Francyą, a panującą w Anglii anarchią; dążą oni do podniesienia narodowego wykształcenia, bez tłumienia inicyatywy i indywidualnej odrębności.

W uwzględnianiu i pielęgnowaniu tej indywidualnej odrębności spoczywają zalety takiego systemu. Gdy w Niemczech szukają zbawczej rzekomo szkoły normalnej i bezustannie pracują nad udoskonaleniem metod, angielscy pedagogowie bezustannie ten wielki cel mają na oku, że wychowanie przedewszystkiem dążyć powinno do kształcenia dzielnych obywateli, ożywionych duchem wolności mężów i kobiet.

K.





Uwagi o „Quo vadis“.

(Dokończenie).

Zakrawa to już na tak zwany romans przygód. Autor prowadzi nas drogą dowolnie przez siebie obraną do głównego efektu, zgotowanego dla czytelnika, a tym efektem są zapasy Ursusa z turem, który na grzbiecie niesie nagą Ligię... Nadzwyczaj znamiennym w tym względzie jest następujący szczegół. Piotr pociesza Winicyusza pół-proroctwem: „Miej nadzieję, c h o ć b y ś widział ukochaną istotę w paszczy dzikiego zwierzęcia“... Tak się też staje. Ligia cudem niemal uratowana. Przez siłę wyższą natchniony apostoł wyrzekł przepowiednią, która się ziściła... Ale warunkowy sposób obietnicy nie może uspokoić Winicyusza, ani też daje pewność czytelnikowi, że Ligia ocaloną będzie. Miał to widocznie na uwadze autor, by przez wyraźną zapowiedź nie usunąć przedwcześnie trwożnego wyczekiwania i przez to nie osłabić wrażenia, gdy nadejdzie stanowcza chwila. Ulubiony to przez Sienkiewicza środek obdarzania pewnych wybranych przez siebie osób nadludzką prawdziwie siłą fizyczną. A Ursus kręcący kark turowi, przeszedł chyba w tym przymiocie swoim i Podbipiętę i Kmicica. Zaiste, dość pierwotny to sposób wzbudzenia podziwu. Ale w danym wypadku umiał autor przejąć czytelnika nerwowym niepokojem, który ogarnął widzów... Czuje się zaparty oddech tysiąca piersi, widzi się te pobladłe twarze, gorejące oczy, wzniesione ręce, pochylone postawy... Ztąd też pochodzi i ten żywy udział, który czytelnik bierze, nie pytając o prawdopodobieństwo, w ważeniu się losów bohaterów między uporem Nerona i jego drapieżnemi popędami, a wolą tłumów, które wpadły w szał i zmusiły wreszcie Cezara do ustąpienia przed

---

trzech córek, za ludzi bardzo młodych. Nie brali oni na siebie ani troski, ani zobowiązań żadnych, a nikt nie odmawiał im prawa żyć według własnego upodobania. Wszystko więc poszło po dawnemu, swobodnie, wesoło. Jeszcze za życia nieboszczyka pana stał dom na wielkiej pańskiej stopie: trzydzieści koni w stajni do wyjazdu, angielski ogród, cieplarnie i liczna służba.

Jedyną zmianą, jaką młodzi państwo zaprowadzili, było, że z pomysłami starego sybaryty połączyli nowe wyrafinowane zamiłowania o jakich dawniej po wsiach nie marzono. Meble zostały obciągnięte jedwabną materyą, okna i posadzki dawniej nagie, pozakrywane teraz portyerami i dywanami. Służba nosiła dawniej wytarte, stare surduty swych panów, teraz dostała liberyę. Kuchnię oddano w zarząd kucharzowi, wyuczonemu w angielskim klubie, a do wielkiej ilości pokojówek, wyrosłych w domu, które się zajmowały szyciem, haftowaniem, robieniem koronek, dodano elegancką, dobrze płatną garderobianę.

Młodzi państwo wywierali swoim przykładem zbawienny wpływ na sąsiedztwo. Nie bez racyi powiedział gubernator w swej mowie, podczas obiadu, wydanego na cześć nowo przybyłych, że wnieśli oni nowe życie w gubernię. I rzeczywiście z ich przybyciem rozpoczęła się epoka uroczystości, uczt i rozrywek. Nikt nie chciał się powstydzić przed gośćmi ze stolicy.

Właściciele i właścicielki dóbr przezwyciężyli swoje wiejskie lenistwo, dawniejsze rozrywki, nudne przyjęcia, imieniny, gra w karty, zmieniły się na wyższe niejako. Po przybyciu hrabiego Barancowa pojawiały się w miasteczku teatry amatorskie, koncerty z żywemi obrazami, wieczory kostyumowe.

Michał Iwanowicz i Marya Dymitrówna byli zachwyceni wrażeniem, sprawionem w gubernii, oboje byli przejęci znaczeniem swej misyi cywilizacyjnej. Hrabia mówił nawet raz na jednym obiedzie o znaczeniu angielskiej *gentry* i wyraził życzenie, ażeby rosyjscy właściciele stali się podobni angielskim landlordom. Hrabina również niemniej starała się o uszlachetnienie obyczajów w prowincyi: uważała sobie za obowiązek sprowadzać kosztowne toalety z Petersburga. Dom hrabstwa był zawsze otwarty dla gości. Obiad podawano późno, według miejskiego zwyczaju i wszyscy domownicy musieli się do stołu przebierać, jak każe obyczaj angielski. Przed śniadaniem pito niezwykłą wódkę, jak dotychczas, ale *englisch-bitter*.

Pałac Barancowów był ciężkim, starym budynkiem, mury jego grube na dwa arszyny; zewnętrznie podobny on był do wielkiej czworograniastej skrzyni, na której Bóg wie dlaczego poustawiano tu i owdzie fantastyczne latarnie, balkony i inne ozdoby. Był on budowanym w owym szczególniejszym stylu, który nazwaćby można stylem pańszczyźnianym. Wszędzie spotrzebowano wiele materyału, ale wszystko było niezgrabne; wszystko świadczyło, że dom ten budowany był w tym czasie, kiedy jeszcze pracy nie płacono, a materyał znajdował się blisko; cegły wypalano wtedy we własnej cegIarni, posadzki wyrabiali chłopi z własnego drzewa, nawet budowniczy, który plan rysował był chłopem. Wnętrze domu i rozkład pokojów nie odróżniały się niczem od innych domów w owych czasach. Na górze mieszkali państwo, na dole były pokoje dziecinne, w suterenach mieściła się kuchnia i mieszkanie służby. Do suteryn wchodziła hrabina tylko w dzień Zmartwychwstania, aby ze służbą wymienić pocałunki wielkanocne; do pokoju dziecinnego zaglądała czasem nawet i w dni powszednie, jeżeli jej czas na to pozwolił, to jest, jeżeli nie miała gości, albo jeżeli sama nie wyjeżdżała w odwiedziny, co zresztą zdarzało się dość rzadko.

W pokoju dziecinnym domu Barancowów wzrastały i rozwijały się trzy panny pod okiem dwóch guwernantek, z których jedna M-lle Julie była wysoką, żywą i rozmowną brunetką, w nieokreślonym wieku, druga M-me Night była wspaniałą wdową o wielkiej surowej twarzy, obramowanej grubemi szaremi lokami. Oprócz tych dwóch wychowawczyń kręciło się niemało innych osób koło dzieci: stara niania, pokojowa Anisia i dziewczynka do posyłek, słowem, wszystko było tak, jak w pańskim domu być powinno. Trzy panienki były na swój

gwałtowną burzą uniesienia zbiorowego.... Autor dopiął celu. Scena z turem jest rzeczywiście szczytowym punktem utworu. A oglądając się z tej wyniosłości na długą drogę, na szczyt prowadzącą, widzimy wyraźnie, iż sceny gwałtowne, jaskrawe opanowały twórczą wyobraźnię pisarza. Znać ognistą i gorącą była ona. Siła jej nie osłabła od czasu stworzenia trylogii, wzmogła się może, mimo tych śladów niby zmęczenia, które czytelnicy dostrzedz mogli n. p. w „Rodzinie Połanieckich“. Porównajcie opis igrzysk trojańskich w „Mirtali“ z obrazem tych okropności, które się dzieją w amfiteatrze w „Quo vadis“. Ale tu porównania być nie może... Tam, u Orzeszkowej, mamy prześliczny haft... tylko tyle. Tu zaś, w Sienkiewiczu, same gorące barwy... Tu nie mamy czasu nawet na rozkład wrażenia na pojedyńcze szczegóły, utrudnia to przyspieszony obieg krwi. Głowa pała. Czujemy się w stanie gorączkowego podniecenia. Ujarzmione władze umysłowe czytelnika poddają się wreszcie biernie wrażeniom... Patrzymy, widzimy, słyszymy... Bo czyż nie słyszymy tego żałosnego pół krzyku, pół śpiewu. *Ave, Caesar. — imperator! Morituri te salutant...?* Czy nie widzimy sieciarza, obchodzącego w koło przeciwnika, czy nie brzmi w uszach naszych zwrotka jego: „*Non te peto, piscem peto. Quid me fugis Galle?!* I serce bić przestaje z trwogi, z wyczekiwania, co to stać się może, co to się stanie?...

Wprawdzie koloryt to Mackarta. Wrażenie silne, ale farby nietrwałe, spłowieć łatwo mogą. Przecie to uczucie niepokoju i wyczekiwania, to napięcie nerwowe zawisło w mocnym stopniu od n i e w i e d z y czytelnika, jaki to obrót wreszcie sprawy wezmą... W pierwszem czytaniu wrażenie ogromne i zupełne; w drugiem już znacznie łagodniejszem i słabszem stać się musi. Inaczej być nie może. Ale bądźmy wdzięczni i za to, co nam dzieło daje.

Nie mówiłem dotychczas o obrazie płonącego Rzymu. Ale widowisko pożaru, jakkolwiek wspaniałe, traci wiele na swej grozie w porównaniu ze szczuplejszemi w zarysach swych ogólnych, ale plastyczniejszemi i bardziej poruszającemi widokami krwi i walk w amfiteatrze...

Mówiliśmy już, jaki jest stosunek wątku powieściowego do ogólnego tła. Zobaczmy teraz, w jakich punktach następuje zetknięcie się losów jednostkowych bohaterów z losami całej powszechności chrześciańskiej w Rzymie. Najprzód chrześcianie porywają Ligię za jej wolą i tu się zaczyna odysea Winicyusza. Następnie, rozpaczne jego wysiłki do odzyskania Ligii skierowane, wypełniają sobą cały utwór. Ukończone one zostały w chwili, gdy Neron daje wymuszony znak łaski... Zniknąwszy z amfiteatru, znikają też kochankowie z widowni dzieła. Tylko z daleka dobiegają nas wieści o szczęściu pary, zgubionej wśród łąk i gajów Sycylii i zapomnianej przez władcę świata. Nić, wiążąca wypadki, zerwaną została. Od tej chwili należy też uważać treść powieściową za zamkniętą. Wszystko, co się jeszcze przesunie przed naszemi oczami, jest tylko dekoracyjnym dodatkiem, nie organiczną częścią utworu. A jednak dotychczas jeszcze nie zostały wyrzeczone te słowa: *Quo vadis?* które nadały tytuł całemu dziełu; a jednak właśnie wśród upiększających dobudowań, które do planu nie wchodzą, i z niego nie wynikają, znalazła się ta scena, która według myśli pierwszej miała być środkową i punktem ciężkości, jak łatwo wywnioskować. Już ta okoliczność, że spotkanie Piotra z Panem fizycznie nawet wyjęte jest z właściwej tkanki powieściowej, świadczyć może o organicznym błędzie budowy, o niedostatecznem zlaniu się w całość różnych części pomysłu. Może raczej powiedziećby należało, że pomysł pierwotny pozostał na uboczu, że wykonanie weszło na inne tory. Wyobraźnią pisarza owładnęły te wspaniałe w swoim ponurym nieraz kolorycie sceny, których tyle rozrzucił po kartach swego dzieła. I gdy, kazawszy wprzód czytelnikom przejść przez wszystkie stopnie trwogi, niepokoju, wstrząsnień nerwowych, spowodowanych widokiem okrucieństw, autor doprowadził go do owego wyżynowego punktu, którym jest walka Lyga z turem, uczuł się już widocznie zmęczonym. Zdobył się wprawdzie jeszcze na piękną, ale pogańską śmierć Petroniusza. Spotkanie Pana w widzeniu Piotra nie sprawia wcale silnego wrażenia. Jest to dodatek dekoracyjny, powtórzę, który tytułu autora nie usprawiedliwia wcale. Wizya owa nie wpływa w najmniejszym stopniu na losy głównych bohaterów powieściowych, nie pozostawia żadnego śladu w ich uczuciach, napomnieniach, choćby dla tego, że są oni nieobecni. A ponieważ znowu widzenie samo przez się osobnego punktu ciężkości nie stanowi, więc i jedność artystyczna utworu, ciągłość wrażenia zachowaną została od rozbicia. Ale jakim kosztem? Czy po chwilowem rozmyślaniu nie wyda się nam trochę dziwną i trochę przykrą dysproporcya między potęgą, wielkością działających czynników a wydanym przez nie skutkiem? — Wprowadzono w grę cały aparat dziejowy, poruszono w czytelniku najgłębsze uczucia litości, odrazy, przerażenia, ukazano tyle i tak świetnych, wspaniałych i okropnych zarazem obrazów... tyle krwi wylanej, tyle męczarń... widok najwyższego rozpasania i okrucieństwa... i to wszystko dla tego, by Numa połączyła się z Pompiliuszem?! Kościół wstrząśnięty w posadach, niedobitki tułają się i kryją w najciemniejszych kątach, książę apostołów zachwiał się w wierze... a Ligia i Winicyusz mają być szczęśliwi? Łatwo im to przyszło! Gdyby nie Petroniusz, który sprawił, że Ligia zmuszoną była szukać schronienia wśród współwyznawców, burza, unosząca na falach swych skołataną nawę pańską, możeby nie dotknęło swem skrzydłem dachu, pod którym szczęśliwa para gniazdko uwiła. Była chwila, gdy sam Winicyusz uczuł, jak drobną kropelką jest jego osobiste nieszczęście wobec tego gromu, który spadł na całą społeczność chrześciańską. Ale to tylko chwila była... Piotr gotuje tłumy wiernych na śmierć nieuchronną... sam jest gotów dać życie za swą gromadkę.. A Winicyusz, zawahawszy się wprawdzie, wymaga od głowy kościoła, by zechciał łaską i potęgą od Pana mu daną uwolnić Ligię z paszczy dzikich zwierząt. Piotr ma szczególne względy dla Winicyusza. Gdy dla tamtej ciżby modlił się tylko o wytrwanie — dla niego wyprasza u niebios kochankę. Więc sam książę apostołów jest narzędziem dla Numy

---

wiek wysokie, miały przepyszne gęste włosy, które zaplatano rano w warkocze, a do obiadu rozpuszczano, wszystkie trzy obiecywały z czasem stać się pięknościami.

Dwie starsze Lena i Liza stały już na progu salonu. Jedna z nich miała lat czternaście, druga trzynaście. Obie nasłuchiwały z namiętnem zajęciem na każdy ton, który z górnego piętra do nich się przedostawał i obie szemrały niezadowolone, że je zmuszano jeszcze do noszenia krótkich sukien.

Trzecia, panna Wiera, jeszcze zupełnie młoda, ośmioletnia dziewczynka z okrągłą różową twarzyczką i tem dziwnem spojrzeniem, które zwykle spotyka dzieci, mające swoje własne życie, nie buntowała się jeszcze przeciwko niczemu. Jak u wszystkich dzieci, których życie regularnie upływa, były u niej konserwatywne instynkta silnie rozwinięte; poddawała się wszystkiemu, co ją otaczało nieświadomie, ze zwierzęcem przywiązaniem pielęgnowanego pieska domowego, nie przyszło jej nigdy na myśl wątpić o zasłudze, którego ze swych bliźnich. Jej matka była najlepszą z matek, jej pokój dziecinny, najlepszym z pokojów dziecinnych.

Tak, w domu szło wszystko jak najlepiej, każdy miał swoje miejsce i wszyscy żyli obok siebie przyjaźnie i spokojnie, jak zawsze w towarzystwie, gdzie są pewne silne podpory i nikt nie jest zmuszony głową rozbijać muru, aby dla siebie znaleźć drogę wyjścia.

Wogóle myślano, szeptano i marzono wiele o miłości, taksamo na górnych jak i dolnych piętrach. I zaprawdę, oprócz uciech i cierpień miłości nie mogło nic, jak się zdawało, pokrzyżować prostej drogi życia, która leżała przed trzema pannami Barancow, równa i gładka, jak nitka.

Życie ich można było naprzód przewidzieć i oznaczyć. Papa i mama byli zdecydowani najstarszej Lenie dać w posagu Mistino, Lizie Stepino, a najmłodszej, Wierze Barki.

Hrabstwo wiedzieli także, że po trzech, czterech latach bezwątpienia zjawi się jaki huzar, albo dragon i zabierze Lenę, a po roku przyjdzie inny huzar dla Lizy; potem dopiero przyjdzie kolej na Wierę. Dzieci nie będą mieszkały w Barkach, nie Anisia będzie im usługiwała, ale jakaś inna pokojówka, a oprócz tych małych zmian powtórzy każda bieg życia swej matki. Wszystko to było bardzo proste i bardzo prawdziwe i rozumiało się samo przez się, wszystko to było wiadomem tak, jak naprzykład wiadomem jest, że jutro będzie obiad i pojutrze.

Wszystkie te jednak pewne plany zostały nagle zniszczone przez pewne nieoczekiwane zdarzenia. Właściwie to co się wydarzyło, nie wydarzyło się ani nagle, ani niespodziewanie, gdyż już przed dwudziestu laty mówiono o tem i cała Rosya była na to przygotowaną; ale jak wszystkie wielkie wydarzenia miało i to tę właściwość, że gdy się nakoniec urzeczywistniło, wyglądało, jakgdyby spadło nagle i zastało wszystkich nieprzygotowanymi. Pierwszy cień tego zbliżającego się nieszczęścia spostrzegła Wiera przy następującej okoliczności: z końcem roku 1860 był w domu Barancowów wspaniały obiad, na którym oprócz zwykłych ciotek, babek i najbliższych sąsiadów zjechał rzadki, szacowny wujaszek z Petersburga, wysoki urzędnik ministeryum. Przybył z rana, i przy obiedzie podtrzymywał rozmowę, rozumie się, sam jeden. Opowiadał przeróżmaite historye z kół rządowych, których z gazet znać nie było można.

Podczas obiadu hrabina przerywała mu kilkakrotnie.

— Stefanie, *prenez-garde* — mówiła tajemniczo, wskazując głową na służących, usługujących przy stole, którzy zachowywali swą zwykłą, obojętną minę.

Po deserze udali się wszyscy do salonu, hrabia sam przekonał się osobiście, czy wszystkie drzwi do przybocznych pokojów prowadzące, są zamknięte.

— *Vous pouvez parlez* Stefanie — powiedział uroczyście.

Wiera siedziała na kolanach nowego wuja, nie zwracano na nią uwagi, sądząc, że nie rozumie nic z tego, o czem mówiono.

— *C'est fait! l'Empereur a souscrit le projèt, qui a eté presenté par la commission* — obwieścił wujaszek uroczyście.

Ręce matki, która właśnie w tej chwili nalewała kawę, opadły bezwładnie, łyżeczka

i Pompiliusza. A wśród całej tej rzeszy, czy nie było mężów, którym odebrano żony i oddano je na męki i shańbienie? Czy nie kochali oni równie gorąco jak Winicyusz, czy boleść ich była mniejszą i mniejważyła, niż boleść tego na pół dopiero nawróconego poganina? Ta niewspółmierność celu i środków przypomina mi nieco podobną z „Rodziną Połanieckich“ okoliczność. Tam Litka miała to opatrznościowe przeznaczenie, by połączyć p. Marynię z p. Stanisławem... Szkoda Litki...

Docierając do mety, chciałbym uprzedzić jeden zarzut, że w uwagach mych o dziele Sienkiewicza nie obrałem historycznego punktu wyjścia, jedynie może właściwego w ocenie powieści historycznej. Nie czując się atoli uzdolnionym do innego traktowania sprawy, brałem stosunki rzeczone, jak one zostały pszedstawione w utworze przez pisarza, nie troszcząc się o to, czy ten lub ów szczegół zgodny jest z prawdą dziejową. Czy pomimo tego opuszczenia rozumowania moje posiadają jaką wartość, sąd nie do mnie należy.

Na zakończenie chciałbym rzucić parę ogólniejszych uwag. Sienkiewicz w literackiej działalności swej od dawna i stanowczo przechylił się w kierunku idealizowania tradycyi i zachowawczych ideałów zarówno w przeszłości, jak w życiu współczesnem. — Z tego źródła pochodzi i tendencya jego dzieł i wybór tematów nawet. Z tego względu rozważone „Quo vadis“ nie jest jakiemś zjawiskiem odosobnionem. – jest przeciwnie dalszem ogniwem w ewolucyi duchowej pisarza. Ale nie podejmuję na razie tego wątku i nie wysnuwam ztąd wniosków co do psychologii samego autora, jak i jego czytelników. Obecnie mówić chcę o innej właściwości talentu Sienkiewicza, tak jaskrawo uwydatnionej w ostatnim jego utworze, o właściwości, którą już poznały najszersze koła czytających z tak głośnej trylogii jego.

Nie potrzebuję chyba tłomaczyć, iż mam na myśli usiłowanie autora olśnienia widza zewnętrznym przepychem dekoracyi, dramatyzmem powikłań sytuacyjnych... Ten koloryt jaskrawy, gorący pociąga ku sobie czytelników Sienkiewicza, i nietylko pociąga, ale najczęściej im wystarcza. I dla tego Sienkiewicz zawsze pozostanie najpoczytniejszym ze wszystkich powieściopisarzów.

I nie może być inaczej. Trzeba tylko przypomnieć sobie, jak zwykle czytamy. Powieść u nas powszechnie jest to przedmiot jednodniowego zajęcia, czyta się zawsze tylko raz jeden, nigdy się do niej po przeczytaniu już nie zabiera. Czynią to chyba dzieci. Zapewne, w całej tej powodzi nowel„ powieści, opowiadań, nie wielka tylko ich ilość zasługuje na wyróżnienie. Ale ogólnemu losowi ulegają też dzieła najcenniejsze, że już nie wspomnę o klasykach naszych. Książka nie jest dla nas pokarmem duchowym, lecz rozrywką, „zabiciem czasu“, lub, co najwyżej, za przeznaczenie ma swoje — wstrząsnąć nerwami czytelnika. Książka zamknięta, zamkniętą jest na dobre. Nie powraca się do niej myślą, nie daje ona powodów do zastanowienia się nad jej treścią lub wyborem środków artystycznych, nie budzi sporów, wyjątkowo chyba. Zmysł krytyczny w masie czytelników nie jest zgoła rozwinięty. Dla tego może zazwyczaj najmniej troszczy się ona o sądy i wyroki krytyki fachowej, której najwybitniejsi nawet przedstawiciele nie zawsze są choćby z imienia znani. Może przeciwnie krytyka sama ulega niekiedy suggestyi bezwiednej ze strony ogółu przeciętnej publiczności. Najpewniej to samo dzieje się i gdzieindziej. Zawsze masy czytelników spożywają ladajaką strawę książkową. Ale tam, gdzie czytelnictwo jest szeroko rozlane w warstwach narodu, zbyt szczczupłą nie jest i ta mniejszość, która posiada wyrobiony smak i wyższe wymagania estetyczne. U nas mniejszość owa garstką jest zaledwie.

W uwagach swych o „Quo vadis“ starałem się uzasadnić to twierdzenie swoje, że powieść Sienkiewicza dostarczyć może wrażeń silnych, ale t y l k o przy pierwszem z nią zapoznaniu się. W tem dziele nie ma głębin, stopniowo się odsłaniających przed okiem badawczem. Owóż to „t y l k o“ dla większości czytelników nie istnieje. Wszak oni po raz drugi nigdy już na nowo do utworu tego nie powrócą, za siebie oglądać się nie będą, by je podać krytycznemu roztrząsaniu. Pierwsze wejrzenie jest zwykle i ostatniem; wyrokuje ono o doskonałości dzieła i rozgłosie pisarza, bo w tem pierwszem wejrzeniu zawarta jest całkowita ilość wrażeń, jakie tylko dzieło dać może. Ale jest przecie garstka niewielka czytających inaczej, szukających w utworze artystycznym i estetycznego zadowolenia i pokarmu pożywnego. Nie wystarcza im pobieżne obejrzenie obrazu. Mają oni swe upodobania, ulubione utwory. Bez przykrości powracają oni do nich niekiedy. I dzieło bezwątpienia posiada treść głęboką i piękne kształty estetyczne, jeśli przy takiem oglądaniu nie traci, owszem zyskuje, jeśli nam nowe głębie ukazuje, nowe strony odsłoni. Czy się bardzo omylę, gdy powiem, że wyroki tej małej garstki bardziej mogą pochlebić talentowi pisarza, niż rozgłos chwilowy? Dzieła, przez tę garstkę na wyżyny podniesione, — nie zawsze, lecz często, dziedzictwem spadają z pokolenia na pokolenie.

Czy może Sienkiewicz t a k i e dzieło stworzyć? Może. Dowiódł tego niejednokrotnie. Wspomnę tu tylko choćby o „Dzienniku nauczyciela poznańskiego“. A w zakresie ducha swego posiada czar zaklinania duszy czytelników, posiada potęgę wyobrażeń w tym stopniu, którego u nas nie dostąpił nikt. Nie lekceważymy tego daru cudownego. Wszak czując w sobie tę dziwną moc panowania nad wyobraźnią czytelników, twórca Balladyny, tym orężem uzbrojony, porwał się do walki z tytanem z ceimnego sosen litewskich uroczyska, a choć go nie pokonał, pozostał na słońcu przeciwnem — przeciwnym tamtemu bogiem. Ale jakiż użytek robi autor Trylogii i Quo vadis z tej potęgi twórczej, którą jest obdarzony? Warunkiem koniecznym piękna jest pewna harmonia części z sobą i z całością, pewien zgodny rytm — niekoniecznie w kształtach zewnętrznych, lecz w zakresie ducha, ożywiającego dzieło. Tym rytmem i tą harmonią będzie pewna zgoda między wysiłkiem a skutkiem, środkiem a celem. Pięknym może być sam w sobie ruch atlety, wznoszącego ciężki młot, lecz pierwsze wrażenie może przejść w śmieszność, jeśli dostrzeżemy, iż ruchu tego celem jest wbicie małego gwoź-

---

zadźwięczała na podstawce i kilka kropel kawy splamiło drogą serwetkę.

-- *Mon Dieu, mon Dieu!* — mówiła, upadłszy na krzesło, zakrywając twarz obiema rękami.

Wszyscy obecni siedzieli jak skamieniali.

— Czy to już napewno rozstrzygnięte — zapytał ojciec cichym, stłumionym głosem.

— Pewnie i nieodwołalnie! Z początkiem lutego zostaną rozesłane manifesty do wszystkich proboszczów, aby je dziewiętnastego tego miesiąca ogłosić ludowi — powiedział wujaszek, mieszając kawę łyżeczką.

— To znaczy, że teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zdać się na łaskę nieba — westchnął ojciec.

Kilka chwil panowała ogólna ciężka cisza.

— Mój Boże, cóż to jest? Przecież to właściwie poprostu jest rabunkiem — dał się nagle słyszeć głos Siemiona Iwanowicza. Był to wuj ojca; w wielkiem wzruszeniu podskoczył z miejsca, uderzył pięścią w stół, białe włosy spadały mu na rozgniewaną twarz.

— Nie krzycz wuju, na miłość boską! *Les domestiques peuvent entendre* — błagała przelękła mama.

— A więc, wytłómacz mi przecież raz, co to będzie z tego? przestaną nas teraz słuchać, prawda? — wmięszała się do rozmowy stara ciotka, Arina Iwanowna.

— Nie gadaj głupstw, siostro — powiedział ojciec niecierpliwie, odsuwając ją delikatnie ręką — daj mi wypytać Stefana Michałowicza, który zaczął coś opowiadać z wielkiem ożywieniem. Panie były oburzone, jak przedtem.

— *Comment est ce que l'empereur qui, est si bon, peut nous faire tant de peine* — dziwiła się jedna z nich.

Służący wszedł, w tej chwili umilkli wszyscy.

— Panienko, panienka została dzisiaj po obiedzie w salonie, nie słyszała panienka o czem państwo mówili? — spytała późnym wieczorem Anusia, kładąc Wierę do łóżka.

Wiera rozumiała z całej rozmowy tylko tyle, że rodzinie jej grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nikt jej wprawdzie nie zakazał mówić o tem co słyszala, ale poczucie kastowe jest tak silnie rozwinięte w tem rasowem zwierzątku, że z godnością odpowiada: „Nie słyszałam nic, Anusiu.“

Chociaż obecnie wiedzieli wszyscy, że manifest został nietylko podpisanym przez cesarza, ale że będzie ogłoszony we wszystkich cerkwiach, nie przestawali państwo obawiać się do ostatniego dnia, ostatniej minuty, aby służba zawcześnie się o tem nie dowiedziała. Służba ze swej strony nie dawała niczem do poznania, że wie cośkolwiek, a wszystkie rozmowy w przedpokoju i kredensie, urywały się równie szybko, gdy ktoś z państwa nadszedł, jak milkły rozmowy w salonie za zjawieniem się kogoś ze służby.

Nakoniec nadszedł ten straszny, tak długo oczekiwany, fatalny w swych skutkach dzień 19 lutego. Cała rodzina Barancowów wyprawia się do kościoła, po sumie odczyta kapłan manifest. Już o 9 zrana wszyscy byli ubrani, wszystko wykonywa się dzisiaj gorączkowo, a uroczyście tak, jak się to dziać zwykło przed pogrzebem, wszyscy lękają się wypowiedzieć jakiegoś zbytecznego słowa: nawet dzieci, czując instynktownie znaczenie dzisiejszego uroczystego dnia, zachowują się cicho i grzecznie, nie odważając się na żadne pytania.

Przed podjazdem stoją dwa powozy; są one wyczyszczone, aż błyszczą, konie mają najlepszą uprząż, a woźnica najlepszy kaftan. Ojciec jest także w pełnej paradzie, w mundurze z orderami, matka w drogiem aksamitnem okryciu, dzieci postrojone, jak lalki.

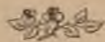
(Ciąg dalszy nastąpi.)



dzika w tekturę... Czy ma to jaki związek z „Quo vadis“, lub przynajmniej z memi uwagami o „Quo vadis“, czytelnik sam wyrozumie. Gdy czytam jakąś bajkę Hoggarda, w której Numa 20 wieków oczekuje na swego Pompiliusza o postawie i twarzy greckiego boga a inteligencyi wołu, staram się nie widzieć białych nici, bo nie chcę, by mi się tkanina w rękach rozpadała. Ale do Sienkiewicza wolno przykładać miarę wyższą, niż do Dumasów i Colinsów, wolno pożałować, że marnotrawi tak rzadkie, tak cenne dary ducha, że oko jego zatrzymuje się na powierzchni, nie wnikając w głąb ludzkich dusz i społeczeństw. Pozwolę sobie wyręczyć się słowami Taine'a o Tintorecie: „Nie ma na świecie potężniejszego i płodniejszego temperamentu artysty. — Z wielu rysów podobny jest do Michała Anioła. Zbliża się do niego oryginalnością dziką i energią woli...“ „Zdaje mi się, że zanim się widziało jego świętego Marka, nie można mieć pojęcia o wyobraźni ludzkiej“. O ukrzyżowaniu tegoż mistrza mówi Taine: „Nie ma oka, któreby objęło taką całość, któreby połączyło podobne efekty“. O tym samym obrazie: „Jest on mniejszym przy drugiem wrażeniu, efekt całości z pierwszego wejrzenia zanadto stanowi istotę talentu Tintoretta; podporządkowuje mu on wszystko, jego ręka jest zanadto porywczą, nazbyt chętnie trzyma się pierwszej idei...“

Nie potrzebuję chyba dodawać, że właściwie najmniej mnie obchodzi talent mistrza weneckiego; mógłbym tedy nie spieszyć z wyznaniem, że nie widziałem ani jednego wyrazu Tintoretta, że nie mam się za uzdolnionego do wyprowadzenia jakichbądź wniosków w zakresie sztuki malarskiej. Napiszę tylko zamiast: Tintoretto — Sienkiewicz.

A. Drogosław.



Kajetan Kraszewski.

(Wspomnienie pośmiertne).

Powieściopisarz, szczery miłośnik nauk, człowiek nieskazitelnie prawy, brat znakomitego pisarza, Józefa Ignacego, zakończył życie w Starym Kuplinie dnia 1 b. m. Urodzony dnia 11 marca 1827 r. w Dolnem, w gub. Grudzieńskiej, ukończył nauki gimnazyalne w Swisłoczy i następnie szersze wykształcenie otrzymał w domu, pod kierunkiem prof. Jana Baranowskiego w zakresie nauk przyrodniczych, fizyki, meteorologii i astronomii. Objąwszy w posiadanie majątek Romanów w pow. Włodawskim, gub. Siedleckiej nad Bugiem, Kajetan urządził swoje zasobne muzeum, bogaty księgozbiór (około 10,000 tomów dzieł), obserwatoryum astronomiczne, do którego sprowadził z Monachium wielki refraktor Steinheila, lunety i instrumenty Starkego i Plossla z Wiednia, Leverbousa z Paryża, Mortiusa z Berlina i wiele innych. Posiadał wielce bogaty zasób narzędzi do czynienia spostrzeżeń meteorologicznych, którym się oddawał całą duszą. Oprócz tysięcy dzieł historycznych i przyrodniczych, księgozbiór romanowski (ułożony staraniem Bogusława, syna nieboszczyka), posiada bardzo rzadkie druki, bogaty zbiór autografów, niemal całkowity komplet herbarzy i kronik polskich. Prócz tego w siedzibie romanowskiej jest około 100 portretów z XVI—XVIII w. Wyniki swoich sumiennych i długoletnich badań astronomiczno-meteorologicznych umieszczał w nieistniejącem już dziś czasopiśmie: „Przyroda i Przemysł,“ w „Kosmosie,“ francuskim, a następnie w „Pamiętniku Fizyograficznym.“ Obok szczerego zamiłowania nauki człowiek ten ujawnił błyski wszechstronnego utalentowania: był wirtuozem fortepianistą, kompozytorem. Prócz tego często brał pióro do ręki, kreślił opowiadania i powieści. Oto szereg jego prac: „Monografia domu Kraszewskich vel Kraszowskich Jastrzębczyków“ (1861), „Koniuszyc brzeski,“ powieść (1875), „Chełmianie, opowiadanie z lat 1792—1796“ Warszawa, (1879), „Opowiadania mniejsze. Votum, Co się dzieje na księżycu, Białonóżka pana majora, Trzewiczek, Skarb stolnikowicza“ (1879), „Od szkolnej ławy, opowiadanie z lat 1798—1823“ (Warszawa, 1880), „Pod wyrokiem, opowiadanie z lat 1706—1713“ (1883) i „Bartochowski“ (1889 r.)

Nadto ogłosił ważne szczegóły o gen. Filipie Haumanie i rodzinie poety Antoniego Malczewskiego (1888), tudzież pospołu z Sewerynem Smolikowskim zabrał pełny erudycyi, rozstrzygający głos „W sprawie Szczerbca Bolesławowego“ (Warszawa, 1879, z trzema tablicami).

Jako zacny obywatel, uczynny, gorąco odczuwający potrzeby i niedole ludzkie, zaskarbił sobie szczerą miłość szerokiej okolicy.





KRONIKA WARSZAWSKA

Warszawa, 13 lipca.

(Rozwiane znaczenia ugodowców. — Słówko o teatrze. — Kto obalił Szymanowskiego? — Nowości. — Pani Zapolska. — Żniwa.)

Jesteśmy niepoprawnymi optymistami, ludźmi, nie liczącymi się z rzeczywistemi warunkami położenia, a łudzącymi się bezustannie niepochwytnemi jakiemiś nadziejami. Powitaliśmy z zapałem wstąpienie na tron cara Mikołaja II., spodziewając się po młodym, ożywionym podobno najlepszemi chęciami monarsze mniej lub więcej radykalnej zmiany stosowanego wobec nas z całą bezwzględnością systemu rusyfikacyi. Gdy nas zawiodła ta nadzieja, oczekiwaliśmy łask i ulg obszernych w manifeście koronacyjnym. Minęła koronacya, nie przyniósłszy nam oczekiwanego szczęścia, i obecnie upatrujemy zbawienia w toczącym się o nas sporze „Petersburgskich Wiedomosti“ z innemi organami prasy rosyjskiej, w ogłoszonym w „Dniewniku Warszawskim“ liście Apuchtina, w którym osławiony ten kurator warszawskiego okręgu naukowego broni swego postępowania, w wyjeździe wreszcie jenerała żandarmów Brocka do Petersburga. Tymczasem rzeczy idą dalej dotychczasową swą koleją, organa rządowe wytężają wszystkie swe siły, aby w kraju „prywiślańskim“ przynajmniej na zewnątrz zatrzeć ślady polskości, aby zgnębić do reszty wszelką swobodniejszą myśl polityczną. Dotychczasowe, aczkolwiek krótkie dzieje panowania cara Mikołaja II, przekonać już były powinny naszych ugodowców, na jak kruchych zbudowali podstawach swą politykę. W rzeczy też samej nie małej potrzeba naiwności, aby mówić o ugodzie z przeciwnikiem, który godzić się niechce, lecz żąda kategorycznie bezwarunkowego poddania.

O ile nie wchodzą tu w grę inne, mniej szlachetne lub wprost nieszlachetne pobudki, myśl o ugodzie poddało niektórym reprezentantom naszego społeczeństwa przekonanie o samowładztwie rosyjskiego cara. Starano się wytworzyć pewne przeciwnictwo pomiędzy carem a jego urzędnikami, a nawet pomiędzy społeczeństwem rosyjskiem a polityczną i religijną jego głową. Tymczasem jednak i w Rosyi nie przeszły bez śladu czasy ostatnie, znaczące się olbrzymim rozwojem politycznym społeczeństw na oko mało nawet cywilizowanych. Dzisiaj car rosyjski jest samowładnym w teoryi jedynie, w praktyce zaś poważnie bardzo liczyć się musi z prądami nurtującemi naród. Prądy zaś te — nie należy się łudzić dłużej pod tym względem — są nam, jak wogóle wszelkiej odrębności, psującej harmonię panrusycyzmu i prawosławia, w wysokim stopniu przeciwne. Jak w innych krajach, jak we Francyi i Niemczech szowinizm nie noszący współzawodnika i w Rosyi głębokie zapuścił korzenie, shołdował sobie w zupełności prawie miarodajne warstwy społeczeństwa. Wątpić też należy, aby car, zwłaszcza młody i niedoświadczony, zależny od swego otoczenia i przez nie inspirowany, mógł stawić skuteczny opór tym potężnym prądom i skierować je w inną stronę. Bezwzględnego rusyfikowania obcych narodowości, wchodzących w skład rosyjskiego państwa, nie można już dzisiaj uważać za politykę zależną od woli cara; rusyfikowanie to — i w tem polega głównie ogromne jego niebezpieczeństwo dla nas. — jest systemem popieranym przez całą prawie urzędową i nieurzędową Rosyę. O cokolwiek radykalniejszej zmianie tego systemu przyznajmniej na razie nie może być mowy; możliwe jest jedynie pewne złagodnienie w jego wykonywaniu. Ale i na to się nie zanosi, i największy chyba optymista stwierdzi jakąkolwiek różnicę pomiędzy obecnem naszem położeniem a stosunkami panującemi pod zaborem rosyjskim przed dwoma laty. Zapewne, że nie należy popadać w krańcowość przeciwną i grzeszyć zbyt daleko posuniętym pesymizmem. Zgadzamy się więc na to, że najsilniejsze nawet prądy ulegają zmianie, że zwłaszcza w Rosyi dobra wola cara i jego doradców wiele bardzo, więcej w każdym razie niż w konstytucyjnych monarchiach, przyczynić się może do tej zmiany — obecnie jednak, pomimo najszczerszej chęci, spostrzedz nam się nie udaje najmniejszych objawów, ani nawet zapowiedzi jakiejkolwiek zmiany ku lepszemu.

Po ekskusyi tej politycznej przejdźmy jednak do spraw miejscowych.

Jak zwykle o tej porze Warszawa wyludniła się z jednostek nadających ton jej życiu. Arystokracya rodowa, wysokie finansoba! literaci nawet opuścili już piekielnym żarem zionące ulice miasta, aby po całorocznych znojach a niekiedy i po całorocznem próżnowaniu na łonie natury szukać wypoczynku. Bliższe i dalsze okolice przedmiasta zaroiły się od letników, a u wód krajowych i zagranicznych co krok spotkać można dzieci Syreniego grodu. W murach miasta pozostali jedynie ci, którym nieznająca żadnej przerwy zawodowa praca, lub brak gotówki, nie pozwala odważyć się na dłuższą czy krótszą wilegiaturę.

Ci nieszczęśliwi, skazani na pobyt w mieście, gdy każdy szanujący się Warszawianin bawi po za jego murami, pocieszają się, jak mogą, wystawami i wyjątkowo obfitą w tym roku produkcyą dramatyczną. Więcej jednak teatrem niż wystawami. Wystawa hygieniczna zrobiła dość kompletne fiasko, i coraz mniej jest ciekawych, pragnących oglądać hygieniczne urządzenia najniehygieniczniejszego pod słońcem miasta. Rzeczywiście zaś ładna wystawa mebli stylowych zachwyca jedynie nieliczne w Warszawie

grono specyalistów i lubowników. Pozostaje więc teatr. Tutaj spostrzegamy objaw, na pierwszy rzut oka trudny do wytłomaczenia, że opanowanych z dawien dawna teatromanią Warszawiaków nie nęci w obecnej chwili teatr „porządny“ i „przyzwoity“ lecz ogródki, że młodzież warszawska nie składa swych, co prawda przeważnie platonicznych zapałów u stóp Marczelki i Lüdowej, lecz przysięga na Zapolską („Wodewil“) i Wróblewską (teatr łódzki), że z serc nadobnych Warszawianek wyrugowali Ładnowskiego, Prażmowskiego i Frenkla, — Sosnowski, Trapszo i Winkler. Ale żart na stronę. Kilkoletniem niedołężnem i niesumiennem kierownictwem zdyskredytował dotychczasowy reżyser p. Szymanowski do tego stopnia pierwszą naszą scenę, że interes wszystkich prawie tutejszych miłośników sztuki dramatycznej skupił się około pogardzanych dawniej tak bardzo ogródków, które zwłaszcza w obecnym sezonie odznaczają się repertuarem ożywionym i wystawiają co chwila nowości, podczas gdy teatr Rozmaitości karmi swą publiczność wyłącznie wznowieniami sztuk, ogranych już do niemożliwości. Prawdopodobnie lepsze losy zaświecą teraz temu teatrowi, którego reżyseryę objął w miejsce usuniętego nagle z obowiązków Szymanowskiego, p. Bolesław Ładnowski, artysta odznaczający się nietylko niezwykłym talentem i inteligencyą, ale także wielką sumiennością, której złożył dowody za poprzedniego swego reżyserstwa. Swoją drogą nie należy łudzić się zbyt wygórowanemi nadziejami. Kierownictwo naszego teatru nie zależy wyłącznie od reżysera, ale w znacznej mierze także od dyrekcyi, która obecnie spoczywa w rękach Rosyanina, nie okazującego zbyt wiele zainteresowania do prowadzenia sceny polskiej.

Niektórzy z wielkich krytyków tutejszych starali się wmówić w siebie i innych, że oni to pioronującemi swemi artykułami obalili dotychczasowego reżysera naszego dramatu. Jest to bałamucenie opinii. Kto zna cokolwiek bliżej tutejsze stosunki, wie dobrze, że prasa nasza nie wywiera żadnego a żadnego wpływu na decyzyę dyrekcyi warszawskiego teatru; jej nagana na tem polu nie jest niczem innem, tylko kiwaniem palcem w bucie. Szymanowskiego obaliły nieznane dotychczas spory zakulisowe; prawdopodobnie łapownictwo, które raziło nawet Moskali.

Ze sztuk oryginalnych, które się pojawiły w ostatnich czasach na scenach tutejszych, zasługują na wymienienie odegrana w Belle-Vue „Sprawa kobiet“ Bałuckiego i wystawione w Wodewilu „Swaty lichwiarskie“ Zalewskiego. „Sprawa kobiet“, nie wykazująca w rzeczy samej oprócz kilku dobrze narysowanych figur epizodycznych, żadnych wybitniejszych zalet, nie zachwyciła tutejszej publiczności i szybko zeszła z afiszu, natomiast „Swaty lichwiarskie“, dzięki przeważnie aż siedmiu razem żydom, włóczącym się po scenie, doczekały się dnia dzisiejszego dwudziestu pięciu przedstawień z rzędu. Główną rolę kobiecą w tej sztuce gra p. Zapolska, a gra ją bardzo dobrze, z wolnym od wszelkiej przesady, prawdziwie artystycznym realizmem. Z p. Zapolskiej zrobił Pażyż dobrą aktorkę.

Podług wiadomości nadchodzących z prowincyi, rozpoczynające się obecnie żniwa zapowiadają się nadzwyczaj pomyślnie tak pod względem ilości jak i jakości zboża. Mimo to nie ustają skargi rolników na trudne i nad wyraz położenie. Tak już bowiem dość nizkie ceny spadają coraz niżej, a przez to panuje taki brak popytu na zboże, że rolnikowi po najniższej nawet cenie trudno pozbyć się swej produkcyi.

X. Z.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

VII.

Sztuka i kobiety. — Malarstwo. — Rzeźba. — Brak poparcia pracy i studyów pośród kobiet.

Geniusz jest czarodziejki-sztuki najbliższym serca i najukochańszym synem, talent również bardzo ukochanem dzieckiem a zdolność to już jej nierodzone dziecię, ale przyrodnie. Geniusz jednak i talent nawet to *„rara avis“*, samą zdolność spotykamy najczęściej, a gdy się do niej doda rutynę, może ona zadowolnić mniej wybrednych. Dziś wszakże świat cywilizowany jest wymagającym i byle czem zaimponować sobie nie da; to też w naszym salonie sztuki pojawiają się często ironiczne uśmiechy i zgryźliwe uwagi na ustach publiczności, bo kolorowych „kiczów“ sporo tu porozwieszano. Z satysfakcyą jednak zaznaczam, że pomiędzy temi zielono-żółto-czerwonemi malowidłami nie ma prawie żadnej pracy ręki kobiecej. Natomiast z prawdziwem zadowoleniem zatrzymują się znawcy i półznawcy przed obrazami Anieli Pająkówny, Modzelewskiej, Olgi Boznańskiej, B. Łukomskiej, Maryi Młodnickiej itd. Zacznijmy od Pająkówny. Mieszka stale we Lwowie, posiada dobrą pracownię po malarzu Makarewiczu, maluje bardzo pilnie. Nieporównaną jest czystość jej pędzla. Artystka to prawdziwie „z Bożej łaski“, utalentowana a przytem gorliwa, nierozumiejąca wcale, jakby to można obraz nieudany lub niedbale wykończony dać na *forum* publicznego sądu. Przeglądnijmy szereg jej prac z ostatnich trzech lat. Oglądaliśmy najpierw jej „P o r t r e t m ł o d e j p a n i“ — dalej portret pani K. B. — a fachowa krytyka nie miała dość słów na wychwalenie tych utworów. Później nieco pojawiły się obrazy: „D z i a d e k“, „S t u d y u m“ (przedstawiające dziewczynkę z naszych przedmieść) „D z i e w c z y n a z o k o l i c K r a k o w a“, wreszcie drugie s t u d y u m, przedstawiające jakąś panią w czarnej sukni i obraz zatytułowany: „W m o j e j p r a c o w n i“. — Jeżeli o wszystkich tu wymienionych obrazach powiedzieć możemy, że odznaczają się wykończeniem artystycznem, delikatnością pendzla, dobrym smakiem i kolorytem, to tembardziej zastosować należy to uznanie do płótna średnich rozmiarów, noszącego tytuł: „Z a d u m a n a“. Możnaby zresztą wcale nie tytułować tego obrazu. Śliczna, sympatyczna dziewczyna, w czarnej spódnicy i czerwonym fartuszku, stoi przy stoliku, na którym widać w dzbanku kwiaty a opodal kartki białego papieru. Zapewne i list i kwiaty nadeszły od kogoś drogiego sercu i wywołały taką błogą, tęskną, głęboką zadumę. Ten k t o ś daleko, — myśli lecą ku niemu... rozpołowiła się dusza i ciało. Nie mniej korzystne wywiera wrażenie „D r u c i a r z“ Pająkówny. Mały chłopak z miną dziarską, z twarzyczką jowialną, trochę ogorzałą, z pękiem drutu w kółko zwiniętego na ręku, z torbą skórzaną i kilku wyrobami własnemi, które zawiesił u pasa, spogląda na nas z obrazu śmiejącemi się, szaremi oczyma. Któż nie zna tego miłego druciarczyka lwowskiego, wesołego filozofa, który kpi sobie z całego świata, gdy ma parę groszy w kieszeni, a kpi zeń jeszcze więcej gdy ich nie posiada wcale. Takiego, jakiego spotykamy go co dnia, wołającego po kamienicach: Jest co drutować?!; głosem prawie tenorowym, — przyłapała artystka i zatrzymała jako model. Toż to minę miał uszczęśliwioną i na poły dumną „w y m a l o w a n y d r u c i a r c z y k“ — zupełnie jak na obrazie wystawionym w salonie Towarzystwa sztuk pięknych. Tyle o pannie Pająkównie, której nowych prac zawsze z niecierpliwością oczekujemy a z radością witamy. Z Pająkówną walczy o lepsze Olga Boznańska, laureatka paryzkich i monachijskich salonów. Z sądem stanowczym o utworach tego pierwszorzędnego talentu powstrzymuję się jednak tak długo, dopóki więcej utworów jego nie przesunie się przed okiem korespondentki waszej. Pod względem obfitości tworzenia uderza panna Marya, czyli jak się sama podpisuje, Maryla Młodnicka. Talent do rysunku i malarstwa jest w tej rodzinie widocznie dziedzicznym. Ojciec panny Młodnickiej jest profesorem rysunków w seminaryum nauczycielskiem a matka związana była serdecznemi węzłami z Arturem Grottgerem, jako jego narzeczona; śmierć nieubłagana stanęła temu związkowi na przeszkodzie. Wracając jednak do akwarel i rysunków panny Młodnickiej, których wystawa posiada wielką obfitość, zarzucić im musimy, zbytni pospiech w wykonaniu i wynikające ztąd usterki. Po zacięciu artystycznem i śmiałości, z jaką panna Młodnicka rysuje i maluje, można wnosić, iż potrafiłaby się zdobyć na coś większego, gdyby obniżyła galopowe tempo swej pracy. Trzeba koniecznie tej młodej adeptce sztuki malarskiej o tem pamiętać, że nie m n o g o ś ć lecz j a k o ś ć wyrabia wartość dzieł, a co zatem idzie, zdobywa należne listki wawrzynu u współczesnych i potomnych. Faktycznie zasłużyła się panna M. Młodnicka bardzo poprawnemi ilustracyami do bajek Audersena, przetłomaczonych przez jej matkę panią Wandę Młodnicką. Z pośród tych ilustracyi na uwagę zasługują: rycina do bajki pt. „S y r e n a“ — „L i p o w a b o g i n k a“ i „L a t a j ą c y k u f e r“. „S y r e n a“ ma w sobie coś Grottgerowskiego, zaś „L i p o w a b o g i n k a“ posiada ten wdzięk, jakiego tak skwapliwie poszukuje każdy estetyk w ilustracyach dla młodzieży, a niestety tak go rzadko znajduje. — A teraz czas nam powrócić do salonu sztuki.

Po Pająkównie drugie miejsce co do wykończenia i staranności rysunku zajmuje B. Ł u k o m s k a. Jej „T r a g a r z“ — żyd ubrany w kożuch, opasany sznurem, dźwigający potargany kosz, zdobył sobie należne uznanie. — Co do panny Olgi Modzelewskiej, to niepodobna odmówić tej artystce dużych zdolności, a jeszcze gorliwszej pracy i dobrych studyów. Uzyskawszy bowiem stypendyum od „Wydziału krajowego“, udała się do Paryża a po roku bardzo mozolnej pracy powróciła do Lwowa. Oglądałam kilkakrotnie jej pracownię, która nigdy bezrobocia nie zdradzała. Wszystkie portrety jakie wykonywała na życzenie znajomych i na zamówienie, zjednały sobie przynajmniej *succès d'estime*, i kto wie, jak daleko byłaby doprowadziła panna Modzelewska, gdyby nie zamieniła palety na brewiarz... tj. nie wstąpiła do klasztoru. Znamy wprawdzie i po klasztorach zdolne malarki, ale bodaj czy talentowi nie łamie ten tryb życia skrzydeł.

Pozostaje nam jeszcze parę słów do powiedzenia o rzeźbie, względnie współpracy kobiet w tej dziedzinie w Galicyi. Spotykamy się tu głównie z dwoma nazwiskami: p. Władysławy Gostyńskiej, rutynowanej i uzdolnionej rzeźbiarki, oraz mniej znanej od pierwszej: Dąbrowskiej. Obie pracują głównie w dziale portretowym bądź to w płaskorzeźbach (portret Felicyi z Wasilewskich Boberskiej niezrównanej wartości, wykonany przez p. W. Gostynską) bądź to w biustach —(Dąbrowskiej portret p. M.) Kraków posiada kursa malarstwa i rzeźby dla kobiet, a na wystawie w salonie sztuki pojawia się sporo próbek zdradzających początkujące talenty. O tych na razie nie mówimy, czekając cierpliwie aż z pośród znacznej liczby studentek wyłoni się wybitniejsza siła artystyczna.

Na zakończenie poświęcam wspomnienie mogiłom. Niepospolity talent rzeźbiarski

zdradzała zmarła we Lwowie przed kilku laty Wanda Zagórska, zaś sława malarki naszej Maryi Bilińskiej (Bohdanowiczowej) rozniosła się szeroko. Walka z biedą materyalną, zwłaszcza w czasie studyów w Paryżu, podcięła jej zdrowie, a kres biedzie położyło dopiero odznaczenie jej prac „złotym medalem“ przez „Salon paryzki“. Znakomitej artystce nie stało wszakże sił do uśmiechającego się po raz pierwszy wówczas życia; zmarła w 35 roku. „Była to smutna śmierć — pisze Konopnicka w sylwetce Bilińskiej — podobna do śmierci wichrem złamanego drzewa, które pada pełne niedojrzałych owoców, przeto, iż go nikt w czasie właściwym nie podparł“. — Alboż to jeden u nas talent tak marnieje? a zwłaszcza pośród naszych kobiet, ktore albo nie lubią występujących naprzód z szarego tłumu współtowarzyszek, okazując im często niechęć swą w dotkliwy i szkodliwy sposób, albo nie raczą spojrzeć nawet na studyujących w biedzie, o głodzie i chłodzie, i nieść im pomoc z wypchanej sakiewki. A gdy już śmierć skosi talent nędzą dręczony, wtedy ta i owa z naszych „pań jedwabnych“ uspakaja sumienie zdawkowym frazesem litości: „Jaka to szkoda, że umarła artystka z biedy“, poetka z głodu a studentka z nędzy i braku dachu nad głową! Gdybyśmy wiedziały!“

O! moje panie, gdybyście tylko szczerze chciały, gdybyście tylko umyślnie ócz nie zamykały, to ujrzałybyście obrazy takich walk o życie, które krew w żyłach ścinają. A przecież: *E pur si muove.* Sztuka i nauka posiada czar magnetyczny, — więc chociaż tyle talentów więdnie dla braku powietrza i rosy, inne zajmą ich miejsce, wołając z wielkim bólem lecz większą miłością:

„I cóż winnaś poezyo, że nie dajesz chleba,
„Że kto ciebie ukochał, najczęściej ma kwiaty
(Tak po śmierci! Przyp. Kor.)
„Lub złoty laur na czole, a na butach łaty?!

I. Aleksota.

TO I OWO.

Sonnenthal.

Z powodu jubileuszu czterdziestoletniej pracy artystycznej Sonnenthala w wiedeńskim „Burgu“ nie od rzeczy będzie przypomnieć kilka szczegółów z życia tego wielkiego artysty.

Dnia 14 maja 1856 r. Sonnenthal po raz pierwszy w roli Mortimera wystąpił w tym teatrze. Jak wielu innym sławnym potem na różych polach mężom, pierwszy występ wcale mu się nie udał. „Si parva magnis componere licet“, prezes włoskiego gabinetu, margrabia di Rudini, który sobie zjednał z czasem opinię wytrawnego męża stanu, wstąpiwszy r. 1869 po raz pierwszy na trybunę parlamentarną, przemówił tak niezręcznie, że sprytny Francesco de Sancti powszechne wrażenie skreślił w aforyzmie: „Ha parlato ed è morto.“ Głośny już jako romansopisarz, Disraeli, późniejszy lord Beaconsfield, pierwszą swą mową w parlamencie 7 grudnia 1837 r. wywołał tak ogólny śmiech i ubliżającą wrzawę, że musiał zaniechać dalszych wywodów, jąkając tylko: „Chociaż teraz muszę usiąść, nadejdzie czas, w którym mnie będziecie słuchali.“ Pierwszy zbiorek miernych poezyi Byrona („Honur of Idleness“) wywołał ową głośną, zjadliwą, w gruncie rzeczy sprawiedliwą recenzyę w „Edinburgh Review“, kończącą się szyderstwem: „Bądźmy wdzięczni małoletniemu lordowi, błagajmy Boga z poczciwym Sancho Pansą, aby błogosławił dawcy, i nie patrzmy darowanemu koniowi w zęby“, która dopiero obudziła uśpiony jeszcze geniusz wielkiego barda.

Po pierwszym występie Sonnenthala najznakomitszy recenzent tutejszy, w niewychodzącej już, ale miarodajnej naówczas „Morgenpost“, zauważył: „Czego niedostaje scenie dworskiej, pokazuje się to wyraźniej w tem, co nam daje, niż w tem, czego nam odmawia. Jedynie zupełne zwątpienie o możliwości znalezienia zdolnego kochanka mogło skłonić dyrekcyą do eksperymentu z p. Sonnenthalem, który przedwczoraj dopuścił się attentatu na Mortimerze. P. S. wygląda wprawdzie bardzo dobrze i posiada głos przyjemny, ale w deklamacyi i grze nie wznosi się ponad poziom drugorzędnego aktora prowincyonalnego. Główną scenę Mortimera w trzecim akcie odegrał raczej jako młody Don Juan, znajdujący się w usposobieniu czułem, który się uwziął dziś zdobyć dziewczę, niż natchniony demoniczną miłością Mortimer. Po czwartym akcie ozwały się sporadyczne oklaski, jednak dalszy ciąg tych występów gościnnych uważamy jako zbyteczny.“ Tymczasem drugi występ w „Tajnym agencie“ Hacklaendera udał się lepiej, a trzeciego dnia dyrektor teatru cesarskiego, znany poeta Laube, krókto debiutantowi oświadczył: „Abyś pan odegrał rolę Karlosa z wszelką odwagą, powiadam ci już dziś, że jesteś na trzy lata angażowany!“ Taki był początek 40-letniej czynności Sonnenthala w teatrze cesarskim.

Właściwie początki jego zawodu aktorskiego ukrywają się w warsztacie krawieckim w Budapeszcie. Świeżo wydana z powodu jubileuszu obszerna biografia Sonnenthala obejmuje wszystkie zebrane z nadzwyczajną skrzętnością szczegóły i dokumenta, wyjaśniające pragmatycznie to, co dotąd obiegało jako podanie. Sonnenthal urodził się w Budapeszcie jako syn kupca. Katastrofa majątkowa zmusiła rodziców oddać go w naukę do krawca Pragera, który pod dniem 1 list. 1850 r. wystawia mu świadectwo, że przez dwa lata uczył się u niego rzemiosła i został wyzwolony jako czeladnik. Przeniósłszy się do Wiednia na dalszą robotę, Sonnenthal z wolnych chwil lub zastoju pracy korzystał, aby śpieszyć do teatru. W Dawizonie, ktorego początki były równie ciężkie, znalazł opiekuna i za jego wstawieniem się otrzymał posadę figuranta w Burgu. Potem rozpoczęła się wędrówka po teatrzykach koczujących w Temeswarze, Hermanstacie itd., która młodego kochanka zaprowadziła aż do dalekiego Królewca, zkąd właśnie na wezwanie Laubego przybył na ów występ gościnny do Burgu. Miał on wtedy lat 23, od tego czasu odegrał całą skalę typów dramatycznych od młodych kochanków, jak Mortimer, Ferdynand, Carlos, do salonowych bonwiwantów komedyi francuzkiej, aby wreszcie w rolach Fausta, Wallensteina i Leara wznieść się na najwyższe stopnie sztuki i zjednać sobie przydomek „pierwszego niemieckiego aktora.“ Może taka sama zdolność i pracowitość, nie połączona z równem mistrzowstwem w użyciu reklamy dziennikarskiej, nie byłyby innemu zapewniły równie świetnej karyery, jak p. Sonnenthalowi, ale w dzisiejszych stosunkach towarzyskich byłyby w każdym razie zabezpieczyły aktorowi bardzo przyzwoitą pozycyę społeczną.

* * *

Cynizm.

Coraz szerzej rozpanosza on się w prasie brukowej. Oto jego próbka z „Kuryera Warszawskiego:“ „Walerya Zaremska, tancerka w Berlinie, która po wypiciu znacznej dozy atramentu rzuciła się z czwartego piętra na bruk uliczny, przyszła już do zdrowia. Atrament zdesperowanej tancerce nie zaszkodził, a wygimnastykowane członki snać niewiele ucierpiały w zetknięciu z brukiem ulicy Marienstrasse. Po tak efektownym skoku panna Z. powinna mieć teraz na scenie pewność siebie, a więc — powodzenie.“ Takie bezprzykładne, ohydne naigrawanie się z cierpienia ludzi nieszczęśliwych, zrozpaczonych, zgnębionych jakimś strasznym bólem moralnym lub rozterką duchową, — przechodzi u nas bezkarnie, bez napiętnowania, przynajmniej przez rozumniejszą i szlachetniejszą cząstkę ogółu.

* * *

Sprawa prof. Adamkiewicza.

W wiedeńskich kołach lekarskich gwałtowną burzę ściągnął niedawno na siebie b. profesor krakowski dr. Adamkiewicz. Umieścił on trzy artykuły w tygodniku „Neue Revue“ p. t. „Klika i nauka,“ w których z ciężkich dział pali do warowni wiedeńskiej medycyny, kierując swe pociski przeciw kilku powagom wiedeńskiego uniwersytetu a głównie przeciw prof. Albertowi, który wezwany został w r. 1891 przez ministra Gautscha, aby umożliwił prof. Adamkiewiczowi wypróbowanie środka przeciw rakowi, „cancroiny.“ wynalezionego przez tegoż na co prof. Albert się zgodził i otworzył gościnnie swą klinikę.

Prof. Adamkiewicz, który już poprzednio kilkakrotnie żalił się na postępowanie, jakiego wówczas doznał ze strony d-ra Alberta, teraz zarzuca temuż, iż nie dostarczał mu materyału klinicznego, utrudniał badanie, przekręcał jego słowa i poglądy, z góry nieprzychylnie był dlań usposobiny etc., i dochodzi w końcu do przekonania, iż wiedeńska szkoła medyczna zachowała się wobec niego (prof. Adamkiewicza) jako klika, zazdrosna i ciasna. Artykuły wywołały wielką burzę w wiedeńskiem Towarzystwie lekarzy. Wydział przedłożył zgromadzeniu memoryał, dopominając się wykluczenia prof. Adamkiewicza (który jest członkiem korespondentem) z grona członków, a to bez żadnych debat. Docent Teleky, oraz prof. Hochenegg zażądali odczytania inkryminowanych artykułów, lub przynajmniej głównych ustępów. Wnioski odrzucono i prof. Adamkiewicz 112 głosami przeciw 15 został wykreślony z listy członków Stowarzyszenia. W „Wiener Medicinische Wochenschrift“ pojawiły się nadto dwa oświadczenia 1) ze strony prof. Alberta i 2) ze strony ówczesnych jego asystentów w klinice, zwrócone przeciw prof. Adamkiewiczowi. Ale w oświadczeniach owych nie spotykamy się wcale z roztrząsaniem poszczególnych zarzutów prof. A., jeno z gołosłownem zaprzeczeniem. Czy profesora A., który zresztą w namiętnym osobistym tonie odezwał się w swoich artykułach, nie stała się krzywda — tego profani obecnie rozstrzygnąć nie mogą.

* * *

Uleczalność suchot.

Feljetonista „Nowego Wremieni“, mówiąc o uleczalności suchot, pod wpływem czystego, świeżego powietrza, na dowód przytacza to, że podczas, gdy w szpitalach miejskich: Obuchowskim, innych petersburskich i moskiewskich, oraz niektórych zagranicznych — na 100 suchotników umiera przeciętnie 48, w specyalnych lecznicach zamiejskich, tak zwanych sanatoryach — umiera tylko 7%. Jako dalszy zaś argument w tym względzie powtarza rozmowę jaką prowadził o sanatoryach z sybirakiem, przybyłym niedawno z Błagowieszczeńska.

„Sanatorya? Ale po cóż panu sanatorya? — spytał sybirak. Przysyłajcie waszych

suchotników do nas, do kraju Nerczyńskiego. Czy wiesz pan, że w całym okręgu nerczyńskim niema ani jednego suchotnika? Opowiem panu rzecz następującą: byli u nas Polacy, przybyli z dziedzicznemi suchotami i, rozumie się, wkrótce wyzdrowieli. Lecz oto pozwolono im wrócić do kraju. I cóż? Ci, których już u nas uważano za zdrowych, wróciwszy do dawniejszych warunków, znów zachorowali, a niektórzy umarli na suchoty. Więc powiem panu, że wielu, widząc to, pośpieszyło z powrotem do kraju Nerczyńskiego, inni zaś otrzymywali listy: zostańcie tam i zostali. Przyjemnie to. widzi pan, umierać w kraju, ale żyć jeszcze przyjemniej, chociażby na obczyźnie.“

NA WYŁOMIE.

(Przeczucia. — Samobójcy. — Cyniczny pesymizm i jego konsekwencye. — Maskarada.)

Dziwne niekiedy człowiek miewa przeczucia. Dziś właśnie mija tydzień od owej chwili, w której na tem miejscu wróżyłem smutne następstwa hecy Hakatystów i dosłownie taką napisałem przestrogę. „Tłumy to palny materyał. Były wypadki, że jedna piosenka niebaczna kończyła się gradem kamieni, brzękiem szyb i konaniem rannych, a jakież rezultaty wy osięgniecie, wy, którzy bezustannie budzicie zwierzę w ludzie niemieckim. Ten urzędnik z pod Inowrocławia bomby może nie rzuci, ale kto wie, czy on i jemu podobni j u t r o n i e c h w y c ą z a k a m i e ń.“

W czwartek o nocnej porze rzucałem te słowa na papier, a w tej samej chwili nieomal rozgrywał się w okolicy Bukówca krwawy dramat, znany już szerszej publiczności z telegramów i korespondencyi codziennych czasopism. Czterech Niemców postanowiło spełnić akt zemsty politycznej na obywatelu polskim, panu Domaradzkim, za energiczną pracę jego przy wyborach w świeckim okręgu. Jak bandyci w rowie stuleni czyhają na ofiarę swoje. Pijani nienawiścią, z katechizmem Hakatystów w duszach zatrzymują konie pana Domaradzkiego, jego samego powalają na ziemię, biją po głowie kamieniami i byliby może zamęczyli patryotę polskiego, gdyby nie rewolwer, który przypadkiem nosił przy sobie. Ofiara wydziera się napastnikom, dobywa broni i jednego rani ciężko w piersi, drugiemu kaleczy rękę.

Wróżba moja spełniona, — panowie Hakatyści już krwią poszczycić się mogą. Jeżeli to jest waszym celem i pragnieniem, hodujcie dalej nienawiść, wy bracia rodzeni Wehlauów. Oświeceni wojować będą słowem, knutem policyjnym i denuncyacyą, tłum prosty przetłomaczy nauki wasze na język zbrodni, zacznie podpalać i kamienować.

Niepotrzebna fatyga, wy towarzysze znaku H. K. T. Słuchajcie! Oto mówi do was jedno z pism poznańskich: Pocóż formujecie przeciw nam zgraje bandytów, pocóż ryzykujecie konflikt z prokuratorom, jeżeli nas kupić możecie?! Macie skarby nieprzebrane, macie stumilionowe fundusze, a ojcowie narodu naszego przychodzą do was i ziemię polską wraz z ludu setkami niosą wam na sprzedaż. Czemu z a b i j a ć chcecie s a m o b ó j c ó w? Czyż wam nie dosyć tych obszarów polskich niesionych na targi niemieckie, czyż wam nie dosyć S o ś n i c y? Jednych kupicie, bo nędza ich chwyta za gardło, i drugich kupicie, bo im złoto wasze się uśmiecha, bo wśród potomków rycerstwa spekulantów znaleźć nie trudno...

Wybaczcie przyjaciele! Tak przeraźliwie jękła ta ziemia, rzucona bez potrzeby, bez presyi bankructwa przed tygodniem zaledwie w paszczę kolonizacyi, że trzeba najprzód całą żółć wykrztusić i żal wielki ukoić, zanim się odważy w ten bezdenny mrok pesymizmu rzucić promień wiary i pobudkę walki, lubo nie ulega wątpliwości, że „trzeźwi“ panowie z Orędownika gotowi każde słowo otuchy i każdy apel do patryotyzmu, do siły moralnej społeczeństwa poczytać starym zwyczajem za „deklamacyą rajskiej młodości“. Tam powiedziano sobie z determinacyą: Prędzej czy później, wszystko wypalić się musi do ostatniego węgielka i nic ratować nie warto. — Tak mówią nasi ludowcy, ja jednak wierzę w siłę opinii publicznej, która u wrót kolonizacyi założyć może i założyć powinna łańcuch żelazny. Łańcuch ten nie powstrzyma desperatów, gnanych widmem ruiny materyalnej, ale przypuszczam, że stać się może hamulcem dla tych, których nie bankructwo przywiodło do wielkiego młyna, mielącego polskie ziarno na niemieckie otręby, lecz wybujałość kramarskich instynktów. Wiem, że bicz opinii nie uratuje wszystkiego, lecz przecież cząstkę ocali, i dla tego nie pojmuję tej Orędownikowej „trzeźwości“, która mówi społeczeństwu: Ziemia stracona, nie warto budzić opinii. a gdyby nawet opinia ratować nas mogła, nikt jej obudzić nie zdoła. (A Mieleszewy?)

Smutne to słowo, smutne świadectwo, które organ ruchu ludowego rzuca w oblicze społeczeństwa naszego, a co najwięcej boli w tej krytyce Orędownikowej, to jakaś radość cyniczna, szczerząca tam zęby swoje. W tym pesymiźmie nie błyszczy łza ani jedna, słychać tylko zgrzyt nieprzyjemny, i nie pojmuję zaiste, dla czego panowie z Orędownika zabierają się do pracy dziennikarskiej w społeczeństwie, w którem opinia publiczna „dobrą jest tylko d o t r z e p a n i a s t a r y c h d y w a n ó w“ i innej misyi spełnić już nie może.

Toż lepiej złamać pióro i zabrać się do wyrobu powideł, fabrykacyi margaryny lub donośnego faktorstwa. Nie przeceniam wartości słowa drukowanego, ale gdyby kiedykolwiek zbudzić się miało we mnie to przekonanie, że nasze wołania pozostaną bez echa, że dla chorej duszy zbiorowej nie ma już lekarstwa, to zaiste wolałbym zostać szczurołapem lub piasek rozwozić, niż redagować pismo i pisać artykuły. I jeżeli ostatnia enuncyacya „Orędownika“ w sprawie kolonizacyi nie jest tuzinkowym frazesem rzuconym w przystępie złego humoru, lecz wyrazem głębokich, podstawowych przekonań, to radzę mu szczerze: łap szczury, fabrykuj powidła.

Autora niniejszego feljetonu bezstronny czytelnik posądzać chyba nie będzie o karmelkowy optymizm względem społeczeństwa własnego; tyle razy rzucałem wielkim i małym ludziom kraju naszego rękawicę, tak często wskazywałem chorobliwe objawy w rozmaitych składnikach organizmu narodowego i kładłem rękę w „ropiejące rany“, że mam poniekąd prawo powątpiewać, by natura obdarzyć mnie miała różowemi szkłami. Ale między diagnozą moją, tak chmurną nieraz i bolesną, a okrzykiem determinacyi: Bez wyjścia i bez ratunku! przestrzeń jest bardzo daleka. Wiem, że w ostatnim dwudziestoleciu opinia publiczna w Księstwie stała się istotnie ladacznicą, wiem również, że wśród ziemian naszych poziom etyki narodowej znacznie się obniżył, wiem wreszcie, że społeczeństwo stan ten w pewnej przynajmniej części prasie swojej zawdzięcza, lecz zdaje mi się, że właśnie ten krzyżacki wicher, szalejący nad nami i spotęgowana, pozbawiona ubocznych względów inicyatywa ludzi dobrej woli, wyprostować może nasze garby, zgięcia i załamania.

Skarżył się niedawno jeden z korespondentów poznańskich do „Słowa polskiego“ na kolizyę interesów partyjnych i kastowych z interesami narodowemi, skarżył się mianowicie na to, że stronnictwo konserwatywne maskuje nieraz handel ziemią ojczystą, by nie obniżać powagi politycznej swoich pułków herbowych, i nikt chyba skardze tej nie odmówi słuszności, komu znane są zakulisowe tajniki prasy poznańskiej i prowincyonalnej. Głośnym zresztą jest fakt, że powołano lud polski do urny wyborczej, by głosy swe oddał na człowieka, o którym wróble na dachu śpiewały, że z komisyą kolonizacyjna rozpoczął targ wstrętny, — głośnem także i notorycznie stwierdzonem zjawisko, że ci, którzy w stumilionowym funduszu ręce zanurzyli, zajmowali bezpiecznie wybitne stanowiska społeczne i nikt ich nie ruszył, nikt ku zgorszeniu społeczeństwa nie zepchnął z piedestału robaczywych wielkości. Czy konserwatywno-klerykalny obóz nie zaprzestanie wreszcie tej trującej roboty? Czyż wiecznie naród będzie kopciuszkiem, a kasta i stronnictwo Bogiem? Takiemi sztuczkami nie ratuje się gasnącego słońca, lecz zachodowi odbiera się jego piękność królewską...

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

— T a k ż e k o n k u r s! Ucieszną zabawkę wymyślił sobie „Tydzień“ piotrkowski. W Nr. 51 z r. z. ogłosił konkurs w tych słowach:

„Po zapowiedzeniu sylwetki „P a w i c a“ odebraliśmy dziesięć prac, z których najlepszą, podpisaną pseudonimem „Szarotka“, pomieszczamy w nr. bieżącym. Okoliczność ta nasunęła nam myśl ogłoszenia konkursu na napisanie sylwetki prowincyonalnej pod dowolnym tytułem, lecz nie dłuższej nad jeden feljeton sześcioszpaltowy. Najlepsza z prac nagrodzoną zostanie 4-tomową powieścią Al. Prusa pt: „E m a n c y p a n t k i“ i drukowaną będzie w „Tygodniu“.

Pozatem nie znajdujemy w warunkach konkursu bliższego określenia co do rodzaju sylwetki. Do konkursu stanęło dziewięciu autorów, między którymi znalazł się literat tak wybitny, jak Andrzej Niemojewski, który przebywając na prowincyi, pragnąłby się przyczynić do ożywienia ruchu literackiego w piśmie miejscowem.

W oznaczonym terminie redakcya „Tygodnia“ ogłosiła (Nr. 24 z r. b.) wyrok, jakiego nie znały jeszcze dzieje zapasów konkursowych: w motywach tego wyroku znalazły się szczegółowe warunki konkursowe. Odezwa rzeczona dopiero po konkursie informuje literatów guberni Piotrkowskiej, czego sobie redakcya „Tygodnia“ życzyła:

„Sądząc z dziewięciu nadesłanych nam prac na konkurs na napisanie sylwetki — przyszliśmy do przekonania, że mało kto z nadsyłających takowe, zdał sobie jasno sprawę z tego, co to jest mianowicie „Sylwetka“ i jaką powinna być jej treść i forma.

Przedewszystkiem, sylwetka — to nie powiastka, nie nowelka, a tem mniej szkic powieściowy, choćby najkrótszy. Nie można w formę sylwetki wtłoczyć żadnej akcyi skończonej; nie można opisywać czyichś czynności, iść za swym bohaterem krok w krok i wdawać się w jakiekolwiek szczegóły z jego życia. Uchwyciwszy jaki typ, należy raczej wskazać główne znamienne jego cechy, któremi się różni od swego otoczenia, któremi zwraca na siebie ogólną uwagę, które go ośmieszają, podają w pogardę, budzą politowanie, wywołują gniew, lub uwielbienie.“

Podajemy tylko urywek tego długiego, przepełnionego przecinkami przepisu na syl-

wetkę, kończy się zaś odezwa wnioskiem, „że biorąc bezwzględnie, żadna z tych prac (nadesłanych) nie uczyniła zadość powyższym wymaganiom.“

P. Niemojewski słusznie postąpił, posyłając po przeczytaniu powyższego przepisu, taką admonicyę „Tygodniowi“:

Szanowna Redakcyo! Wyczytałem w nr. 24 „Tygodnika“ rezultat konkursu, ogłoszonego przez Szanowną Redakcyą w nr. 51 r. z. Załączając trzy znaczki pocztowe siedmiokopiejkowe uprzejmie proszę o łaskawy zwrot mojej sylwetki pt. „Eskulapi“. Przy tej sposobności zmuszony jestem zwrócić uwagę Szanownej Redakcyi na logicznie z dwóch powyżej przytoczonych odezw wypływający wniosek, że Redakcya ogłosiła warunki konkursu po konkursie. Bowiem do kategoryi „sylwetek prowincyonalnych pod dowolnym tytułem“ można zarówno zaliczyć Zoli „typy duchowieństwa“ jak i „Pawicę“ naszej skromnej Szarotki. Określenie „sylwetka“, wzięte z dziedziny sztuk plastycznych, jest określeniem obrazowem, a tem samem nieścisłem; rysownik może poprzestać na rysunku jednego charakterystycznego profilu, zdjętego z cienia, w dalszym jednak rozwoju swego talentu, obserwacyi i pomysłowości, rzucać na papier cały szereg i stwarzać akcyę, czego dowodem roczniki choćby takich „Fliegende Blätter“. Tak samo w dziedzinie literackich sylwetek. Lekko zarysowane kontury typów, powiązanych akcyą, mogą w dalszym ciągu wytworzyć, że się tak wyrażę, sylwetkę oryginalnych sytuacyi, w jakie życie wogóle, tem samem prowincyonalne, obfituje. W Nr. 51 Redakcya nie stawiła granic pomysłowości. Tymczasem w Nr. 24 dowiadujemy się, że Redakcya z pomiędzy wielu kategoryi miała tylko jedną na myśli. Wobec tego trudno było dziewięciu autorom „zdawać sobie jasno sprawę“ z zadania, gdy Redakcya nie umiała „jasno wypowiedzieć się.“ Modła sylwetki, podana w Nr. 24, to niesłychanie pierwotny rodzaj literackiej twórczości; mamy dziś w literaturze skandynawskiej, francuzkiej itd. wzory ogromnego rozwoju z tego zakresu: jeżeli więc życzeniem Redakcyi było, aby autorowie guberni Piotrkowskiej wrócili do formy najpierwotniejszej (nie widzę swoją drogą racyi, dla czego ich tak postponować), to nie należało pisać: „Nie można w formę sylwetki wtłaczać żadnej akcyi“, lecz trzeba było z góry powiedzieć: Prosimy ect. Nie należało pisać: „Nie można (w sylwetce) opisywać czyichś czynności,“ lecz trzeba było powiedzieć: „Prosimy“ ect. ect.“ Bowiem wobec takiego poglądu na rodzaje twórczości literackiej autorowie guberni Piotrkowskiej będą musieli poza granicami swojej guberni szukać powagi sądu, bez którego konkurs najmniejszego pisma obyć się nie może. Powyższe słowa kreślę nie w obronie moich „Eskulapów“, lecz w imię praw twórczości.

Z poważaniem

Andrzej Niemojewski.

* * *

Treść N-ru 7 „Przeglądu literackiego“: Korespondencya literacka z Warszawy p. Anatola Krzyżanowskiego. Powieść naukowa: „Rome“ Żoli (pogadanka), przez dra F. Konecznego. „Pax“ J. Żuławskiego, przez K. Wojciechowskiego. „Wnuczek“ Kl. Junoszy i „Gołębie“ Eminowicza, p. R. Zawilińskiego. „Opowiadania“ Żeromskiego, p. M. Offmańskiego. „Bez woli“ Grot-Bęczkowskiej, p. L. Glatmana. D. Toporskiego: „Przyczynki do studyów nad twórczością A. Mickiewicza,“ p. A. Mazanowskiego. Jar. Vlcka: „Prvni novoceska skola basnicka,“ p. F. Konecznego. „Ze wspomnień kasztelanica“ Kaj. Kraszewskiego, p. K. Wojciechowskiego. Fr. Majchrowicza: „W sprawie egzaminów dojrzałości w naszych gimnazyach,“ p. Z. Samolewicza. Hugo Kegel: „Von d. drei-Kaiser-Ecke in Oberschlesien,“ przez B. — F. Piotrowski: „Nauka o pogodzie,“ p. C. — Ponowne wydania: Suffczyńskiego „Zawsze oni“ i Prusa „Pierwsze opowiadania,“ przez B. — Bibliografia czasopism od połowy maja do połowy czerwca. Przekłady z polskiego. Rozprawy Polaków w pismach obcych. Rozprawy niepolaków o rzeczach polskich. Wiadomości z literatury polskiej. Odczyty. Curiosa. Z literatur słowiańskich. Nekrologia. Rozmaitości. Sprawy Związku literackiego.

* * *

* „W XX wieku“. P. Wł. Zagórski, usprawiedliwiając napisanie swej fantazyi humorystycznej „W XX wieku“, zasłania się słowami: „jak fajerwerk z rac kilku tysięcy, chciałem, aby spłonęły tylko... i nic więcej!“ Ale Słowackiemu, który posiadał wspaniałą fantazyę, obrazy i język poetyczny, wolno było użyć tych słów i wywołać wrażenie odpowiednie w czytelniku, zaś z fajerwerku p. Wł. Zagórskiego pozostał tylko dym, niemający nic wspólnego z kadzidłem i mirą. — W końcu wieku XX żyje w Warszawie poeta Tulipan przeszło sto lat liczący, utrzymujący swe zdrowie i życie vitaliną Brown-Séquarda; prześladuje go swą miłością kobieta, którą poznał w połowie XX wieku, podczas gdy on kocha się w milionowej brazyljance, pochodzącej z Królestwa. Miłosne przygody tego poety opowiada autor, wplatając w akcyę wynalazki XX wieku. Pomysł to wprawdzie nie nowy, ale byłby dobry, gdyby autor posiadał fantazyę, humor i chociażby bardzo pobieżną znajomość stanu nauki obecnej o elektryczności, magnetyźmie, balonach i żegludze morskiej. Z dzisiejszych danych pozwoliłby się wywnioskować taki obraz przyszłości, że mógłby, przynajmniej na chwilę czytania, złudzić czytelnika swoją możliwością i zabawić. U p. Zagórskiego z każdej stronicy wieje przymus pisania o rzeczy, która go nie bawi, ani nęci, ani zajmuje; to znudzenie autora i wysiłek bezpłodnej fantazyi oddziaływa też usypiająco na czytelnika, nawet język, zwykle dobry u p. Zagórskiego, w tej fantazyi jest zaniedbany, banalny i nudny. Zdaje się, że cała książka została napisaną dla kilku bardzo wątpliwych dowcipów o dzisiejszych literatach. Autor chciał ich ugryźć szyderstwem, ale nie starczyło mu ani sił, ani humoru i po przeczytaniu książki, jak po dymie fajerwerkowym, pozostaje tylko — niesmak.

* * *

* Leger L. „Etudes de mythologie slave. I. Peroun et saint Elie“. Paryż 1895, str. 31 w 8-ce.

Książeczka ta jest początkiem streszczenia wykładów autora, mianych w r. 1895 w Collège de France. Jeżeli dozna powodzenia, mówi autor, to wyjdą po niej dalsze.

Po ogólnym a treściwym zarysie mitologii ogłoszonym w „Encyclopédie des sciences religieuses“, powtórzonym w tomie IV „Revue de l'histoire des religions“ i w autora „Nouvelles études slaves 1886“, a przełożonym na język czeski przez prof. Polivkę, autor chce zaznajomić szersze koła inteligencyi francuskiej ze szczegółami tej mitologii i w tym celu drukuje obecnie studyum o Piorunie w związku z podaniami ludowemi Słowian o św. Eljaszu, na którego, jak wiadomo, przeniesiono niektóre rysy Piorunowe. W studyum tem p. Leger zgromadził prawie wszystko, co się w słowiańskich zbiorach folklorystycznych znajduje dotyczącego wzmianek kronikarzy o Piorunie i bajań gminnych o św. Eljaszu. Rzeczy te znane są dobrze wszystkim nam, choć powierzchownie z mitologią własną obeznanym Słowianom; dla Francuzów będą one nowością i pożądanym przyczynkiem do badań porównawczych nad wiaroznawstwem powszechnem.

Nie wątpimy, że powodzenie pierwszej tej broszury zachęci autora do ogłoszenia całego szeregu następnych.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Dawniej pod wpływem łaciny, a obecnie pod wpływem niemczyzny i francuszczyzny używaliśmy i używamy czasami przypadka czwartego zamiast drugiego w wyrazach, oznaczających przedmiot czynności zaprzeczonej; źle tedy mówić: „Nie znam tę panią“, „Nie piszę rachunki nigdy przed południem“ itp.; należy mówić: „Nie znam tej pani“, „Nie piszę rachunków...“ itd. Wyjątek stanowią tylko wyrazy: *co, nic, ile, tyle, wiele*: „Nie mam co jeść“; „Nic nie wiem“; „Nie mam tyle pieniędzy“ itd. Dowcipny Jan Lam błędne to używanie przyp. czwartego nazywał „accusativus tromtadraticus“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Artyści poznańscy ukończyli w ubiegłym tygodniu koczowniczą wędrówkę po miastach prowincyonalnych. — Znakomity artysta krakowski, p. Edmund Rygier bawi w mieście naszem. — Znany poznańskiej publiczności barytonista, p. Bernhard występował z niezwykłem powodzeniem w Peszcie. Dziennik „Pesti Naplo“ nazywa go „wybornym śpiewakiem, o metalicznym, świetnie ułożonym głosie“. — Pp. Zygmunt Przybylski i Klemens Junosza napisali do spółki czteroaktową komedyę p. t. „Baby“, która w krotce wystawioną bedzie na scenie Wodewilu w Warszawie. — Ignacy Paderewski po powrocie z Ameryki udał się na spoczynek do Aix les Bains. — Artysta poznański p. Królikowski, dziś w nocy życia dokonał.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Szarotka. Do gimnazyum żeńskiego w Krakowie zapisało się dotąd, o ile nam wiadomo, jedenaście panien. Z listów jednak otrzymanych przez dyrekcyę wnosić wypada, że liczba ta w terminie późniejszym znacznie urośnie.

Lubownik sceny. Sprawa teatru rozstrzygnie się już w najbliższym czasie. Niewątpliwie w przyszłym tygodniu będziemy w możności zaspokoić ciekawość pańską.

Gra. Zgadzamy się chętnie, jeżeli rozprawa nie jest za długą i posiada warunki literackie.

A. A. Dziękujemy serdecznie za wycinki, ale ramy pisma naszego za ciasne, by krytykować wszystkie dziwolągi gramatyczne, lingwistyczne i literackie, pojawiające się w poznańskich i prowincyonalnych czasopismach.

BIBLIOGRAFJA.

Franciszek Rawita-Gawroński. Kartki z historyi szkolnictwa pod zaborem Rosyi. Gimnazyum w Niemirowie na Podolu w połowie XIX w. Lwów. 1895.

Fr. Rawita Gawroński. Rodzina Hurków. Kilka kartek do monografii tej rodziny. Kraków. 1895.

SPROSTOWANIE.

Do artykułu wstępnego w Nr. 28 zakradła się następująca omyłka: Na stronie 1, w łamie 3, wierszu 14 od dołu czytać należy zamiast: „Koloniście Niemcowi nie wolno dóbr swoich Polakowi sprzedawać“, — „Koloniście Niemcowi nie zabrania się sprzedawać dóbr swoich Polakowi“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28